AS



Nr. 5
31 STYCZNIA 1937 R.
CENA 40 GROSZY

ŻYWY OBRAZ
Z REWJI WIEDEŃSKIEJ »FEMINY«
Fot. Willinger

Mieszkanka
„KRAJU TULIPANÓW"

W doniosłej chwili dziejowej, zapisanej w historji Holandji złotemi zgłoskami, gdy siedem północnych prowincyj: Holandja, Zelandja, Utrecht, Geldern, Friesland, Overijssel i Groningen wywalczyło sobie niepodległość, a zarazem położyło kamień węgielny pod własny ustrój państwowy, noszący oficjalne miano Rzeczypospolitej Zjednoczonych Niderlandów, kobieta holenderska na równi z mężczyzną, w miarę swych sił i możności, stanęła do apelu na niwie współpracy gospodarczej.

Zakres działalności męskiej części obywateli obejmował różnorodne dziedziny. Mogli oni przysparzać bogactw i pomnażać dobra materjalne swej ojczyzny, zapuszczając się na dalekie wyprawy pionierskie ku odległym kontynentom, znaczącym się na żeglarskich mapach Mercatora jedynie białą plamą, albo też jako kupcy mogli pośredniczyć w wymianie towarów, przywiezionych pod pokładami zwrotnych „straetvarders", czy też wspierać wszelakie transakcje handlowe krótkoterminowemi pożyczkami w charakterze bankierów, posiadających swe kantory przy pryncypalnych ulicach Amsterdamu, Rotterdamu lub Hagi. Pole działania kobiet było natomiast ograniczone ze względu na specyficzne stanowisko, jakie zajmowały w społeczeństwie i w rodzinie. Poza dębową bramą niskiego z brązowej, silnie wypalonej cegły zbudowanego domu, zaczynało się wszechwładztwo holenderskiej kobiety.

Dewizą, która przyświecała jej przez całe życie, a zarazem określała rolę społeczną niewiasty, streszczała się w sześciu słowach: „Posłuszna córka, wierna żona, troskliwa matka". Aczkolwiek odcinek pracy, wyznaczony Holenderkom przez ówczesny zwyczaj i obyczaj, niezbyt był rozległy, jednakże za to dla struktury państwa posiadał nader doniosłe znaczenie. Cały ciężar umiejętnej gospodarki ogniska domowego i ogrom trudu wychowawczego został przerzucony na barki pani domu. Od jej zdolności i sprytu zależało manewrowanie budżetem rodziny w kierunku poczynienia możliwie najznaczniejszych oszczędności i przyspożenia bogactw, a na tej drodze dobrobytu w całym kraju. To też rychło naczelną myślą przewodnią każdej zamężnej pani był umiar w wydatkach i racjonalna oszczędność. Francuscy podróżnicy, olśnieni duchem, jaki panował w holenderskiej rodzinie i systemem gospodarki kobiecej, mawiali: „Holenderka, jedyną, wzorową panią domu". — „Wzbogacający się kupiec bez rozsądnej i gospodarnej żony nie zdobędzie znaczniejszej fortuny" — pisał jeden z holenderskich ekonomistów.

Handlowy zmysł mężczyzn, wzajemna solidarność, zrównoważenie i uczciwość, współpraca kobiet i przychylność losu przygotowały dogodny grunt pod wiek XVII, okres największego dobrobytu Holandji, najsilniejszego rozkwitu kultury i sztuki oraz mocarstwowego stanowiska w świecie.

Bandery niderlandzkie, powiewające z masztów okrętów niemal we wszystkich ówczesnych portach, skupienia handlu ogólnoświatowego w rękach Holendrów, kolosalne transakcje giełdy amsterdamskiej, znane i uznane szkoły malarskie, bractwa i gildje, skupiające mistrzów tej miary, co Rembrandt Harmenszoon van Rijn, Franciszek Hals, czy Bartłomiej van der Helst; pierwsze jaskółki ojczystej literatury, a nawet pierwszy zawiązek pracy w perjodycznem wydawnictwie „Nienne tydingen" i ogromna rozbudowa wszechnic w Lejdzie, Franeker, Groningen, Ultrechcie i Hardewyk; oto najdonioślejsze fakta, składające się na złoty wiek Holandji.

Rzecz jasna, że w tak świetnej epoce i życie kobiet musiało zabłysnąć pełnią barwnego towarzyskiego obyczaju, odbiegającego od dawniejszej szarej monotonji, wypełniającej dzień pracy niewiasty, będącej kustoszem rodzinnego ogniska i tradycji mieszczańskiego zwyczaju.

Skoro mroźna zima ścięła lodowatą taflą wody kanałów, przecinających miasta, a ciężkie galary, t. zw. „treckschniten" zamarły w bezruchu, uwięzione krą, wówczas dziewczęta i stateczne matrony przypinały łyżwy i zażywały uciech ślizgawki dosyta. Niczem nieskrępowana zabawa rozwijała się na lodowisku, a arystokratka, mieszczka, na równi z kobietą z ludu, brały żywy udział w tym karnawale na łyżwach. I w dzisiejszej Holandji nastał renesans tych dawnych ślizgawek, tłumnie odwiedzanych nawet przez dwór królewski, dygnitarzy państwowych i najpierwsze rody. Patronuje zresztą tego rodzaju sportowym poczynaniom sama panująca królowa Wilhelmina, nierzadko odwiedzająca popularne tory łyżwiarskie, albo saneczkowe. Jest bowiem w zwyczaju powszechnie przyjętym, aby gentleman towarzyszył na łyżwach damie, siedzącej w specjalnie skonstruowanych saniach-fotelu.

Jako współtowarzyszka życia bierze kobieta również czynny udział w biesiadach, aranżowanych przez męża czy ojca z racji pomyślnych transakcyj, lub z okazji świąt względnie uroczystości familijnych.

Sztychy i słynne grupy portretowe, przedstawiające nam piękną Holenderkę w całej jej uroczej krasie, gdy jako pani domu, doglądając uczty, staje się właściwie podczas przyjęcia rdzeniem zainteresowania, a pełna wdzięku i finezji wprowadza w grono zebranych pierwiastki subtelnej kultury obyczajowej

Zwłaszcza żony wielkich mistrzów pendzla stały się niejednokrotnie źródłem natchnienia artystycznego dla swych mężów i potrafiły się wyzbyć egoistycznej natury, pragnącej posiadać męża wyłącznie dla siebie. Małżonki dzieliły sławę mężów, lecz musiały godzić się na fakt przynależności mistrza do jego „gildji", stanowiącej dlań jakby drugi dom rodzinny, oraz uznawać, iż utalentowany malarz staje się własnością całego narodu.

Cechy powyższe posiadała rozwinięte w wysokim stopniu Saskia van Ulenburgh, towarzyszka życia Rembrandta. Nader szczęśliwe pożycie małżeńskie stało się najpiękniejszą epoką w twórczości tego mistrza, jaśniejącego ponad wszystkie szkoły malarskie swemi zdolnościami i wyczuciem prawdziwego piękna.

Saskia, niepiękna, lecz miła, roztropna dziewczyna umiała pobudzać ambicje męża, któremu często pozowała jako modelka. Operując efektem zamkniętych przestrzeni, wykorzystywał Rembrandt kontrast światłocienia, na tle którego jasne barwy szat małżonki i oryginalna karnacja jej cery, zyskiwały na kolorycie. Niestety, ośm lat zaledwie trwało szczęście mistrza. Nieubłagana śmierć wyrwała młodą, pełną życia Saskie dosłownie z ramion męża. Wówczas zrozpaczony malarz znalazł moralne oparcie w wychowawczyni swego syna, wdowie Henryce Jaghers, w późniejszych latach uchodzącej w oczach świata artystycznego nawet za jego drugą żonę. Jednak nie wszystkim Holenderkom było dane po zamążpójściu pozostać w ojczystym kraju.. Cały ich szereg, poślubiwszy marynarzy lub urzędników kompanji Wschodnio-Indyjskiej, podążył ku dalekim Indjom, aby osiedlić się w odległych „kontvarach" w Bantam i Batavji. W schludnych domkach przy „Tygers Gracht" w Batavji, nad uroczemi zatokami Cejlonu i w faktorjach handlowych na przylądku Dobrej Nadziei pojawiają się kobiety holenderskie, przeszczepiające na te nowe grunta obyczaj rodzinny i organizując życie domowe na modłę ojczystą. Podobnie i dziś współczesna nam kobieta opuszcza Holandję i przez długie lata zamieszkuje na Archipelagu Malajskim w kolonjach „Nederladsz Indie", czy też w gąszczu i dżunglach Guayany.

Lecz jako córce narodu żeglarskiego, zmiana klimatu względnie kontynentu nie sprawia specjalnych trudności. Broni się jedynie przed tropikalnemi chorobami i panującym w kolonjach zepsuciem. Walkę z tem ostatniem złem ułatwia jej moralność niemal wprost ascetyczna, którą wyniosła głęboko zakorzenioną w duszy z domu rodzicielskiego.

Nie znaczy to bynajmniej, że współczesna panna czy mężatka hołduje zacofaniu w życiu towarzyskiem. Modna Holenderka uznaje sporty, dancingi, rewje, jednak wrodzone poczucie taktu, wskazuje jej zawsze pewne granice przyzwoitości, których kobieta przekraczać nie powinna.

W życiu społecznem bierze czynny udział, a liczne stowarzyszenia i związki charytatywne czy kulturalne nie rozwijają się może w żadnym kraju tak pomyślnie, jak właśnie w Holandji, i to dzięki kobietom.

Dostęp do studjów, prawo udziału w wyborach, a tem samem w życiu politycznem, rozszerzyły horyzont działalności współczesnej kobiety, zmieniły ją w stosunku do antenatek z przed wieków niemal całkowicie, lecz zmiana ta wyszła na jej korzyść pod każdym względem.

Dobrobyt panujący w Holandji, zrównoważenie i uczciwość społeczeństwa, muszą bezsprzecznie wpływać na kształtowanie się charakteru młodej dziewczyny, zmieniając jej płoche zapatrywanie na świat i życie.

Lecz na cenienie godności kobiecej i fakt prawości kobiecej duszy wpływa przedewszystkiem nader doniosły moment polityczny, jaki stanowi osoba królowej. W kraju poważnych, światłych mężczyzn, rządy ręki kobiecej muszą być głośnem świadectwem ogromnego zaufania, którem społeczeństwo obdarza kobietę i wielkiej mądrości życiowej jaką społeczność kobieca wykazała niejednokrotnie w dziejach Holandji.

Mieczysław Turski.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 5 — **Niedziela 31 stycznia 1937** — **Rok III**

ASY NUMERU 5-GO:



Fot. Keystone — Berlin.

Egipt, uzyskawszy samodzielność, stał się odrazu ważnym czynnikiem w układzie sił w basenie śródziemnomorskim. Wzmocnił on pozycje Anglji, która w miejsce kraju, z którym ostatnio pozostawała w ustawicznych zatargach, pozyskała sprzymierzeńca, zostawiającego jej zupełnie wolną rękę nad brzegami Nilu i Kanału Sueskiego. Dotychczasowy gubernator Wielkiej Brytanji w Egipcie przemienił się w ambasadora J. K. M. króla Anglji przy rządzie króla Farouka, którego widzimy w towarzystwie sióstr zwiedzającego piramidy pod El Gabad nad Górnym Nilem.



TAM GDZIE ŻYCIE DOJRZEWA...

Niedawno temu mieliśmy okazję oglądania filmu, słusznie nazwanego epopeą bohaterstwa uczonego. Film ten stał się niepowszednią sensacją we wszystkich cywilizowanych krajach świata i zmusił nas — ludzi XX wieku — do głębokich rozmyślań nad problemami, z któremi tak często spotykamy się w życiu codziennem, a które dopiero na warsztatach uczonych badaczy nabrały realnych kształtów odkryć, wprowadzających w niejednym wypadku zupełną rewolucję dotychczasowych pojęć, a w skutkach tak doniosłych, że zasłużyły w pełni na miano dobrodziejstw ludzkości.

Ten film — to życie Pasteura, może nie w 100 procentach przez scenarzystę wiernie oddane, ale w swych podstawowych wartościach zachowane — przypomniało nam dzieje jego poprzednika, genjalnego lekarza wiedeńskiego, dr. Filipa Ignacego Semmelweissa, który jako pierwszy z uczonych odkrył zasady stosowanej do dziś dnia antyseptyki.

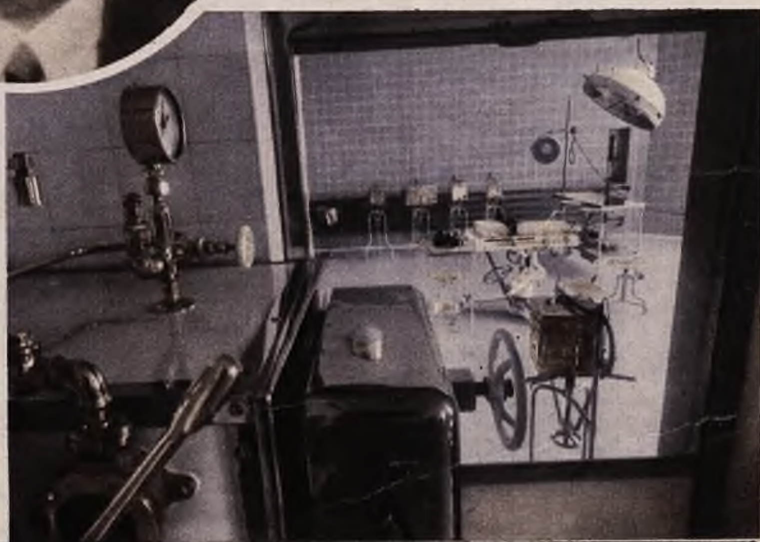
* * *

Były lata — jakże mało odległe od tych, w których żyjemy — lata tragicznego błądzenia w ciemnościach niewiedzy, która w tysiącach przypadków powodowała już nie zgon jednostek, ale wybuch strasznych epidemij. I ludzie uczeni, do których świadomości docierać musiało niejedno wrażenie, powstałe na skutek związku przyczynowego pewnych zjawisk, uważali podjęcie trudu badań nad niemi za zbyt uciążliwe — może nawet ponad swe siły i przechodzili nad wszystkiem do porządku dziennego. I dopiero trzeba było umysłu niezwykle bystrego, który jak oko sokole objął pewną serję zdarzeń, powstałych w specyficznych warunkach i na drodze śmiałych porównań wysnuł z tych obserwacyj logiczne wnioski. Rzecz oczywista, że tego rodzaju obserwacja dostępną była tylko lekarzowi, poświęcającemu się ordynacji klinicznej, który w przeciwstawieniu do swych kolegów wolno praktykujących, dysponował obszerniejszym i szybszym w porównaniach materjałem doświadczalnym.



W kole: Prof. U. J. Dr January Zubrzycki, współtwórca i dyrektor Kliniki.





Sala operacyjna — na pierwszym planie na lewo aparat do sterylizacji narzędzi chirurgicznych.

Semmelweiss, pracując w połowie ubiegłego wieku na klinice położniczej we Wiedniu, nie mógł się dosyć nadziwić niebywałemu wzrostowi wypadków t. zw. gorączki połogowej (zakażenie krwi u położnic) od chwili, gdy lekarze i medycy, funkcjonujący przy porodach, zaczęli zajmować się sekcjami, związanemi z nowootwartą wówczas we Wiedniu katedrą anatomji. Na podstawie statystycznych obliczeń z lat poprzednich, które wykazywały stosunkowo bardzo mały odsetek wypadków tejże gorączki połogowej, doszedł Semmelweiss do wniosku, że istnieje nieodparty związek przyczynowy wzrostu liczby tych wypadków z owem nowem zajęciem lekarzy i medyków przy stole sekcyjnym — innemi słowy, że ludzie ci przenoszą na swych rękach jakieś siły chorobotwórcze z ciał nieboszczyków na organizmy badanych położnic. (Semmelweiss nie znał jeszcze bakteryj — przeczuwał ich istnienie i nazwał je tkankami zwierzęco-organicznemi).

Aby obraz ówczesnego stanu medycyny możliwie wiernie odmalować, nie możemy pominąć milczeniem faktu, że jedynym środkiem pomocniczym, wówczas przy badaniach położnic stosowanym, była... wazelina. Semmelweiss zaczął podejrzewać, że środek ten bynajmniej nie jest wystarczający, by zapobiec przenoszeniu sił chorobotwórczych na rękach lekarzy i medyków. Po dłuższych rozważaniach doszedł on do



Na lewo: Widok ogólny na wspaniale urządzoną salę wykładową na Klinice.

wniosku, iż stosowanie jakiegoś środka o silniejszem działaniu powinno przynieść zamierzony rezultat. Wprowadził więc mycie rąk w roztworze wapna chlorowanego i stosował je z wielką sumiennością na klinice. Po pewnym czasie mógł też zanotować imponujący spadek liczby wypadków gorączki połogowej na swoim oddziale i fakt ten utwierdził go jeszcze bardziej w przekonaniu o dokonanem odkryciu.

Pierwsze ziarna zostały w ten sposób rzucone na urodzajną glebę... Zakiełkowały i rozwinęły się one w latach następnych w przepyszną roślinność, której imponujące kwiaty oglądać dziś możemy w wielu cieplarniach wiedzy medycznej.

* * *

Kraj nasz — na którym dawniej ścierał się duch postępu, idący z ziem zachodnich spod zaboru niemieckiego i austrjackiego z atmosferą Wschodu, przesiągniętą dawnemi uprzedzeniami do wszystkiego, co nowe i raczej grawitującej do prymitywu — stał się dopiero od chwili uzyskania samodzielności państwowej terenem, na którym wprowadzono ujednostajnienie pewnych systemów leczniczych i rozprzestrzeniono w formie praktycznej zdobycze wieloletnich wysiłków uczonych.

Ziemie Rzeczypospolitej złączyły się pierścieniem nowoczesnych imponujących urządzeń szpitalnych, w których jaśnieje od niedawna brylant czystej wody, włączony w tę ogólno-państwową oprawę na skutek inicjatywy krakowskiego świata uniwersyteckiego.

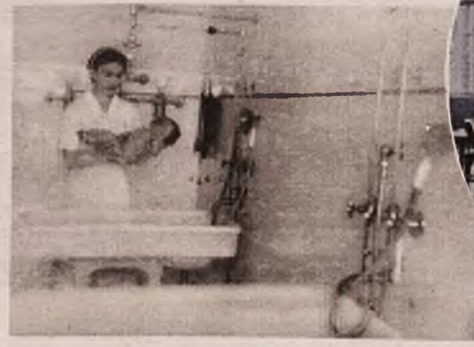
Otwarta niedawno temu klinika ginekologiczno-położnicza Uniwersytetu Jagiellońskiego jest właśnie tym klejnotem wśród naszych urządzeń szpitalnych i jako taka już choćby z uwagi na swe zewnętrzne formy, dostępne dla laików — zasługuje na omówienie. W jej murach żyje i żyć będzie nadal duch genjalnego lekarza wiedeńskiego, któremu miasto rodzinne wystawiło pomnik z napisem: „Zbawca matek". Tylko, że założenia wiedzy antyseptycznej, ustalone przez Semmelweissa, zostały tu rozbudowane do form imponujących rozmiarami i logiką struktury.

Już widok zewnętrzny wspaniałej budowli musi wywrzeć silne wrażenie nawet na tym widzu, który w swej nieświadomości nie uwzględnia pewnych wymogów i koncesyj, na rzecz specjalnej architektury szpitalnianej. A cóż dopiero powiedzieć o wnętrzu, które śmiało nazwać można najpiękniejszym pałacem współczesnej medycyny. Obrazy, przesuwające się przed zdumionemi oczami zwiedzających, znajdują analogję chyba tylko na srebrnym ekranie — w filmach, odsłaniających nam bogactwa analogicznych instytucyj Nowego Świata.

By zrozumieć system, na którym oparły się urządzenia kliniki krakowskiej, należy uprzytomnić sobie owe rozliczne, przez naukę stworzone parawany, odgraniczające człowieka zdrowego od świata, w którym panuje widzialna i niewidzialna choroba. Wszędzie tam, gdzie dokonuje się operacyjnych zabiegów zagadnienie anty- i aseptyki wysuwa się na plan pierwszy. Na klinice krakowskiej zastosowano rzecz prostą, najbardziej nowoczesne aparaty z tej dziedziny. Wśród ilustracyj niniejszego artykułu znajdą Czytelnicy fotografje sterylizatorów, w których pod wpływem działania sprężonej pary lub suchego powietrza nagrzanych do temperatury +180° C., następuje proces odkażania materjałów opatrunkowych, bielizny używanej przez operatorów i personal pomocniczy. Specjalne aparaty sterylizacyjne przeznaczone są dla narzędzi chirurgicznych.

Lekarz z chwilą, gdy ma zbliżyć się do pacjentki — i to zarówno wówczas, kiedy ją tylko bada, jak i wtedy, gdy przystępuje do operacji — poddaje swe ręce specjalnym zabiegom aseptycznym. Myje je w wodzie sterylizowanej, dostarczonej znowu przez osobny aparat służący wyłącznie do tego celu, suszy je przy pomocy gorącego powietrza, a następnie poddaje działaniu alkoholu z domieszką jodyny. Aseptyka dochodzi jeszcze do głosu w postaci podwójnych rękawiczek, które wdziewa operator na tak przygotowane ręce — maski, nakładanej na twarz, specjalnych kaloszy itd.

Dokonawszy przeglądu wyliczonych powyżej sił na froncie walki z zarazkami chorobotwórczemi, przed któremi chroni się pa



Wanny i urządzenia kąpielowe dla noworodków.



W kole: Kryta leżalnia Kliniki.



Ogólny widok gmachu Kliniki

Poniżej: Hala z aparatami sterylizacyjnymi.

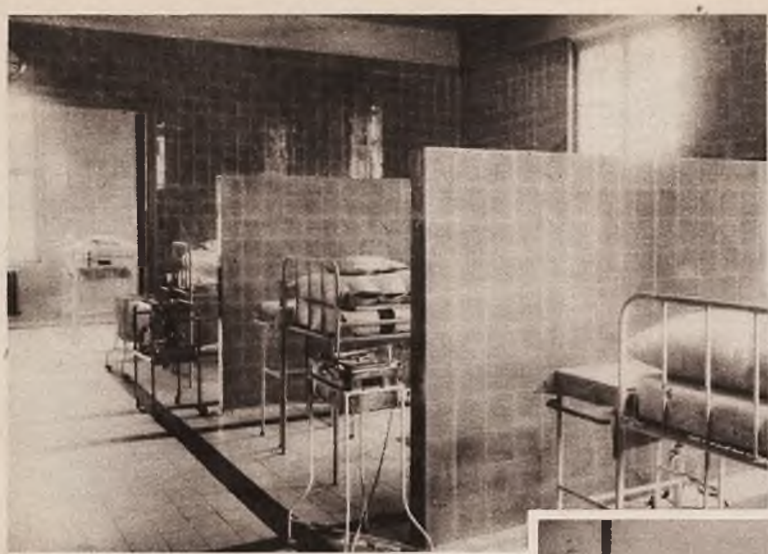


Poniżej: Widok sali na oddziale noworodków



Na prawo: Oto jak wygląda strój lekarza w czasie operacji (vide maska, podwójne rękawiczki i płaszcz).





Sala porodowa z parawanami z kolorowej kafli.



Śluza dla naczyń kuchennych (w głębi).

cjentki, przechodzimy do niemniej ważnych urządzeń kliniki z dziedziny izolacji — urządzeń, które w niejednym wypadku stały się nawet przyczyną włączenia w ogólny plan budowli pewnych specjalnych form architektonicznych. Temi urządzeniami są tzw. śluzy.

Gmach kliniki składa się z kopulastego frontonu, mieszczącego w punkcie centralnym olbrzymią salę wykładową, a obok niej wspaniale wyposażone sale operacyjne, gabinety doświadczalne, bibljotekę i kaplicę, a na parterze kancelarję wraz z izbami przyjęć.

Dwa imponujące skrzydła, biegnące prostopadle do frontonu zamknęły w sobie: lewe, oddział położniczy i nad nim mieszkania dla części personalu lekarskiego, prawe zaś oddział ginekologiczny. Oba te skrzydła łączy vis a vis frontowego budynku leżalnia otwarta i zamknięta, pod którą rozmieszczono na najniższej kondygnacji ubikacje kuchenne. W ten mniej więcej sposób przedstawia się w ogólnych zarysach plan podziału najważniejszych jednostek organizacyjnych kliniki. Zajęliśmy się nim dlatego, ponieważ przystępując do omawiania wyżej wspomnianych śluz, musimy jasno zdawać sobie sprawę z sytuacji, powstałej przez włączenie w plan urządzeń klinicznych tych najciekawszych komórek sieci izolacyjnej. Idąc w ślad za pacjentką, która przybywa na klinikę, przejdziemy z nią razem przez owe komórki i w ten sposób zapoznamy się najlepiej z ich mechanizmem.

Na parterze przyjmuje nas lekarz dyżurny w izbie przyjęć, skąd po wstępnych badaniach udajemy się do mieszczącej się obok — pierwszej śluzy t. zw. zewnętrznej. Wchodzimy najpierw do przedpokoju, oznaczonego na naszym planie literą A, który służy zarazem za poczekalnię śluzy. Jedyne drzwi prowadzą nas następnie do umieszczonej tuż obok rozbieralni (na planie litera B), w której zdejmujemy ze siebie dosłownie całe ubranie. Zabiera je zaraz pielęgniarka i wrzuca do wsypu, odprowadzającego brudną bieliznę. W następnej ubikacji (C) znajduje się tuszownia; tam uwalniamy się od pyłu i brudu, kryjącego najczęściej zarazki i przechodzimy skolei do ubieralni (D). Służba funkcjonująca osobno dla tej części śluzy, podaje nam sterylizowaną bieliznę szpitalną. Już w nią ubrani wsiadamy w ostatniej ubikacji śluzy (E) do mieszczącej się tam windy, która wywozi nas na korytarz rozdzielczy, doprowadzający pacjentki na oddział położniczy lub ginekologiczny, zależnie od polecenia lekarza dyżurnego z izby przyjęć.

Droga, którą co dopiero odbyliśmy uwidoczniona jest na planie. Czytelnik oglądając go powinien odrazu zrozumieć mechanizm i cel śluzy. Przedewszystkiem rzuca nam się w oczy najważniejszy szczegół, a mianowicie istnienie tylko jednego wejścia do tego kompleksu ubikacyj i brak wyjścia w formie drzwi, które zastąpiono tu windą. W ten sposób udając się do śluzy nie możemy jej już opuścić inaczej, jak tylko przechodząc przez poszczególne ubikacje, w których pokolei odbywa się proces oczyszczający. W ten sposób pacjentka nie wnosi już ze sobą na sale kliniki niebezpiecznych dla otoczenia zarazków, które pozostały w śluzie.

Analogiczne urządzenia znajdują się wewnątrz kliniki dla lekarzy i pielęgniarek, przybywających z miasta. I oni przejść muszą przez śluzy (również zewnętrzne), by dostać się w obręb oddziału septycznego.

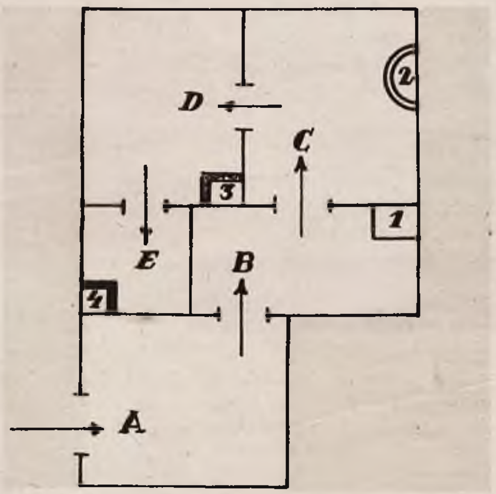
Prócz wymienionych istnieją jeszcze śluzy wewnętrzne, przez które przedostaje się bielizna, naczynia z potrawami itd. Rzecz oczywista, że budowa ich i mechanizm są odmienne od śluz zewnętrznych — raz dlatego, ponieważ mamy tu do czynienia nie z ludźmi, lecz przedmiotami, a więc proces oczyszczający odbywa się tu na drodze mechanicznej, następnie zaś rozmiary i kształty tych śluz muszą być dostosowane do specjalnych funkcyj.

* * *

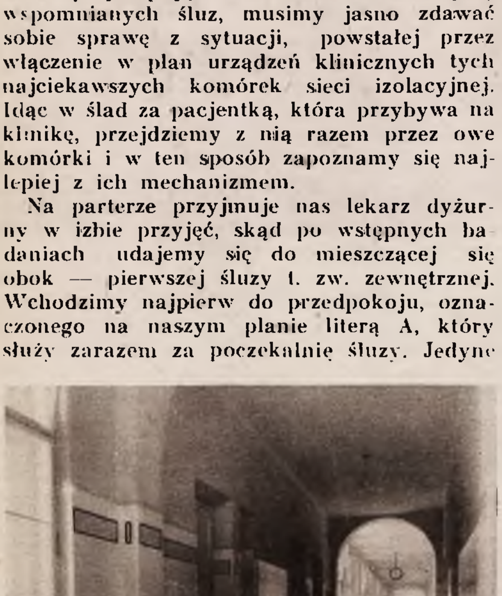
W opisie urządzeń kliniki krakowskiej zwróciliśmy wyłącznie uwagę na te, które mogłyby nam dosadnie zobrazować dzisiej-



Wnętrze kaplicy na Klinice.



Plan śluzy zewnętrznej: A—przedpokój. B—rozbieralnia. C—tuszownia. D—ubieralnia. E—ubikacja z windą. 1) wsyp na brudną bieliznę. 2) tusz. 3) szafy z bielizną sterylizowaną. 4) winda



Korytarz II piętra, biegnący przez prawe skrzydło gmachu, w którym mieści się oddział ginekologiczny.



Lekarze Kliniki spędzają wolny czas w pokoju klubowym, znajdującym się obok ich mieszkań.

Wszyskie zdjęcia fot. „AS"

sze formy systemu, wywodzącego się z genjalnego odkrycia dra Semmelweissa. Nie znaczy to jednak, by i inne wśród nich nie zasługiwały na najbardziej szczegółowy opis, na który niestety w szczupłym naszym artykule nie możemy znaleźć miejsca. Ograniczymy się więc do wymienienia najbardziej nowocześnie urządzonej sali porodowej i jej pomocniczych ubikacyj, sali dla noworodków z minjaturowemi, jak zabawki łóżeczkami, a na oddziale ginekologicznym świetnie wyposażonych pomieszczeń dla djatermji długo- i krótkofalowej, cystokopji, Roentgena i wielu innych pokoi z aparatami do specjalnych badań. Do tych szczegółów dodamy jeszcze wzmiankę o bardzo pomysłowo urządzonych pokojach dla dyżurnych lekarzy i pielęgniarek, oraz specjalnej sygnalizacji świetlnej, zapomocą której pacjentka pozostaje w ciągłym kontakcie z dyżurem.

Wszystkie te „cuda" oprawiono w godne ich ramy. Czy to będą kafle, któremi wyłożono większą część ubikacyj łącznie z korytarzami i klatkami schodowemi, czy boazerje z drzewa z szczególnym przepychem zastosowane w bibljotece, czy gustowne lampy i meble, u których niewiadomo, co wpierw podziwiać: pomysłowość konstrukcji, czy smak w doborze najodpowiedniejszych kształtów — wszystko to łącznie z wyborem gustownego malowidła, wyzyskania i opracowania napozór mało ważnych szczegółów architektonicznych wskazuje na jedną myśl przewodnią, której patronowały doswiadczenie, smak i kultura współtwórcy i dyrektora tego prawdziwego pałacu współczesnej medycyny.

Stefan Stolarzewicz

KĄCIK FILATELISTYCZNY

A albumy, to największa obecnie bolączka polskich zbieraczy; nie możemy się uskarżać na brak znaczków, a jedynie wielki kłopot sprawia nam ich ułożenie. Sprowadzenie kilkutomowego „marnika" z zagranicy jest dzisiaj wzbronione, tak, że zbieracze kontentują się wyłącznie starszemi wydaniami, które uzupełniają jak mogą czystemi białemi kartkami.

Podnieść musimy natomiast, że albumy specjalnie wydane przez Witkowskiego dla znaczków polskich stoją już na poziomie zadawalniającym poważnych amatorów. Tak pod względem zewnętrznego wykonania, jak i opracowania nie można im niczego zarzucić, i cieszy nas bardzo ogromny postęp, jaki notujemy od czasu, kiedy „Filatelja" stawiała pierwsze kroki na tem polu. Album polski zawiera ponadto i Litwę Środkową, Port Gdańsk, wydanie Korpusu Polskiego, Levant, oraz znaczki miast. Wobec tego, że w Krakowie również wyprodukowano po raz pierwszy okładki systemu sprężynowego, przypuszczać należy, że jeśli Witkowski wyda w niedalekiej przyszłości kartki, obejmujące znaczki najbardziej u nas poszukiwane, jak Gdańska, Niemiec, Austrji itp., nie będziemy musieli uciekać się do usług różnych Schwanenbergów i Schaubeków.

W. H.

NA NAJWYŻSZYM SZCZEBLU SZTUKI

GEORGE SAND

KREACJA

MARJI PRZYBYŁKO-POTOCKIEJ



Chopin przy fortepianie — obok George Sand (M. Przybyłko-Potocka — scena z sztuki Iwaszkiewicza „Lato w Nohant"

Ostatnia premjera Teatru Małego w Warszawie, sztuka polskiego autora Jarosława Iwaszkiewicza pt. „Lato w Nohant" stała się wydarzeniem dnia. Nie chodzi tu o powodzenie kasowe sztuki i o tak zwane „komplety", jakiemi „Lato w Nohant" idzie od dnia premjery. To są sprawy doprawdy uboczne. Istota wydarzenia tkwi o wiele głębiej — w niezaprzeczalnem pięknie, które w swej nieuchwytnej, a jakże widocznej osobowości usadowiło się na deskach teatru i promieniuje stamtąd co wieczór. „Lato w Nohant" stało się czemś więcej niż sztuką teatralną — jest ono twórczym wysiłkiem autora, reżysera i aktorów w kierunku wydźwignięcia sztuki teatralnej na szczebel najwyższy, równający się temu — co nazwałbym poezją teatru.

Długie chwile spędziłem na rozmowach z reżyserem „Lata w Nohant", p. Wiercińskim. Wyczułem, że człowiek ten prawdziwie przeżywa opracowaną przez siebie premjerę, że dał w niej najgłębszy akord swej wrażliwej na piękno duszy. W jednej z tych rozmów p. Wierciński, pomijając skromnie swe własne zasługi, powiedział mi:

— Dwa czynniki wpłynęły niewątpliwie na poziom artystyczny przedstawienia: sama sztuka i p. Marja Przybyłko-Potocka.

Następnie reżyser „Lata w Nohant" podzielił się ze mną ciekawemi uwagami, które rozszerzają to twierdzenie. Wykraczają one poza ramy powszechne spotykanej w recenzjach teatralnych analizy gry aktorskiej: wchodzą w sferę niedostępną ani dla widza, ani nawet często dla wytrawnego krytyka teatralnego. Dlatego też uwagi te pozwalam sobie pokrótce tu przytoczyć.

Poziom literacki i artystyczny przedstawienia teatralnego zależy nietylko od wartości sztuki i od gry aktorskiej, ale w dużym stopniu i od atmosfery pracy przygotowawczej.

W czasach, gdy oblicze współczesnego teatru poprzez wiekopomne doświadczenia teatru Stanisławskiego i teatru Reinharda jeszcze się kształtowało, w okresie, gdy teatry hołdowały jeszcze tak zwanym „systemom gwiazd", owa praca przygotowawcza na próbach do sztuki częstokroć odbywała się w warunkach przykrej dysharmonji. Oczywiście musiało się to w wielkim stopniu ujemnie odbić następnie na przedstawieniu. „Gwiazdy", a więc sławni aktorzy, którzy odtwarzali czołowe role, dążyły już na próbach do wybitnego wyróżnienia się ponad poziom mniejszych ról, obsadzonych przez słabszych, albo nawet uzdolnionych, ale młodszych artystów.

Dziś niewzruszalnym kanonem teatru jest zarzucenie owego „systemu gwiazd" w tem znaczeniu, iż od sztuki, wystawionej na scenie, wymaga się przedewszystkiem sharmonizowania gry aktorskiej. Współczesny reżyser, obojętne czy chodzić będzie o sztukę realistyczną, czy stylową, zawsze dążyć będzie do owego sharmonizowania.

Układ ról w „Lecie w Nohant" wymagał tego, by poza rolą George Sand, którą objęła niewątpliwie jedna z najwybitniejszych współczesnych artystek sceny polskiej p. Marja Przybyłko-Potocka, zespół składał się z ludzi młodych, niejako młodzieży aktorskiej. Od początku prób zaznaczył się mimo to wybitnie życzliwy stosunek p. Marji Przybyłko-Potockiej do najmłodszych nawet kolegów, grających w sztuce. Należy tu zaznaczyć, iż przeważnie wszyscy, a nawet młody reżyser teatrów T. K. K. T. p. Zbigniew Ziembiński, odtwarzający rolę Szopena, grał z p. Marją Przybyłko-Potocką większą rolę poraz pierwszy.

Marja Przybyłko-Potocka wykazała w czasie prób niesłychaną żarliwość w pracy i wysoką dbałość o istotne zrozumienie nakazów, wypływających z zasady sharmonizowania gry. Wytworzyła się nadzwyczaj korzystna dla sztuki atmosfera wzajemnego zrozumienia aktorów i wspólnych wysiłków, które dały wreszcie ten rezultat, iż „Lato w Nohant" stało się wzorem pieczołowicie wystawionej sztuki teatralnej.

Gdy zapytałem p. Ziembińskiego o wrażenia, wypływające z jego bądź co bądź niecodziennej roli, w której pan Ziembiński tak wspaniale odtworzył postać Szopena, usłyszałem przedewszystkiem zdanie:

— Fakt, iż gra z nami p. Marja Przybyłko-Potocka, która wniosła w sztukę nadzwyczajny nastrój czegoś niecodziennego, uduchowionego, wzbudził we mnie wrażenie wprost wielkiego święta i przeżycia. Co wieczór — mówił p. Ziembiński — żyjemy na scenie w jakimś podniosłym nastroju, pły-

Poniżej: W roli George Sand („Lato w Nohant").





W życiu codziennem...

Poniżej: W roli królowej Elżbiety („Elżbieta królowa Anglji").



Zdjęcia: St. Brzozowski — Warszawa.

Dokończenie na str. 31-ej

Prawo do szczęścia.

FR. HERTZOWA

NOWELA

Pośpieszny pociąg zaczął się powoli napełniać publicznością. Po peronie dążyli w obie strony panowie w nienagannych angielskich ubraniach, kobiety w strojach podróżnych. Stare dziwaczki tuliły w ramionach modne pieski z długą sierścią, wystraszone zgiełkiem. Przed przedziałem pierwszej klasy stała egzotyczna wycieczka: panowie ze skośnemi oczami w wielkich okularach, porozumiewający się półgłosem gardłowemi dźwiękami, pomimo wiosennego ciepła ubrani w solidne czarne płaszcze. Gdzieindziej grupa eleganckich kobiet otaczała olbrzymiego wzrostu mężczyznę, wyglądającego między niemi nieomal jak impresarjo grupy karzełków. Wkrótce całe to wielobarwne towarzystwo zajmie miejsca w lakierowanym długim wozie i pogna w świat za swojemi sprawami. A na prowincjonalnych stacjach mali ludzie będą spoglądali z podświadomym żalem na tablicę kierunkową wagonu, znając umieszczone na niej nazwy zaledwie ze słyszenia i niejednemu z nich niby łza wyciśnięta z oka, popłynie z duszy myśl, że wolno mu być zawsze tylko widzem, że nigdy nie będzie mu danem zasiąść wśród świetnych podróżnych przy szerokiem jasnem oknie restauracyjnego wagonu, z pękami róż przed nakryciem i spożywać wyszukane potrawy i pędzić przed siebie ku nieznanym, a czarownym krajom.

Do jednego z przedziałów prawie w ostatniej chwili ześmiani, szczęśliwi, że udawskoczyła młoda para. Rojło im się przybyć w sam czas przed odejściem pociągu, pośpiesznie umieszczali swe paczki, parasole i gazety. Gadali wesoło, może głośniej trochę, niż pozwalają na to obyczaje dobrego towarzystwa, co jednak w ogólnym rozgardjaszu nie dziwiło, ani nie gorszyło nikogo. Walizy tragarz umieszczał na siatce obok wielkiego neseseru ze świńskiej skóry, należącego do samotnej pani, siedzącej pod oknem, oklejonego nalepkami hotelowemi wszystkich stolic. Pozatem w przedziale znajdowało się kilku solidnych panów z minami dyplomatów, na których nikt nie zwraca uwagi, a którzy przerażają tylko jadące panie wielkością cygar, palonych bez przerwy.

Młodzi ludzie usiedli blziutko przy sobie: kobieta trzymała w ręku wiązankę kwiatów, którą podnosiła co chwila do swej młodej i świeżej twarzyczki. A kiedy pociąg ruszył, widocznie z nadmiaru uciechy ruchem pełnym miłości przytuliła na moment głowę do ramienia mężczyzny. I w tej chwili dopiero poczuła, że samotna pani z pod okna patrzy na nich bacznie.

— Patrz, Władku, jaka śliczna kobieta! — powiedziała cichutko.

Ale Władysław, który z zasady w obecności żony niechętnie zwracał uwagę na inne kobiety, popatrzył we wskazanym kierunku, gdy nagle drgnął, a wzrok mu się zasępił.

— Kto to? — spytała zdziwiona: — czy znasz ją?

Ale mężczyzna nie zaraz odpowiedział.

— Nie jestem tego pewny, potem ci powiem, Maryniu — odrzekł, pochylając się ku niej, jakby w obawie, aby nie być słyszanym; ale nieznajoma już nie zwracała na nich żadnej uwagi, więc Marja mogła przyjrzeć się jej niepostrzeżenie. Wieku podróżnej nie można było określić od pierwszego wejrzenia. Jedno tylko było pewne, że zarówno cera jej pięknej regularnej twarzy bez zmarszczek, delikatna jak płatek herbacianej róży, była raczej zasługą doskonałej pielęgnacji, jak młodzieńcza figura — zasługą masażystki i pierwszorzędnego krawca. Niezaprzeczonej piękności były tylko jej ogromne wilgotne ciemne oczy, stanowiące czarujący kontrast ze złotemi włosami. Nosiła na sobie lekki wełniany kostjum, ożywiony tylko pękiem świeżych fiołków. Z pod dość krótkiej spódnicy widać było wysmukłe nogi w szarych jedwabnych pończochach i sportowych pantoflach. Szyję otaczał sznurek różowych pereł. W dłoniach, obciągniętych w grube reniferowe rękawiczki, trzymała książkę, której nie czytała, bo oczy jej, skierowane ku oknu spoglądały w przestrzeń.

Władysław zamyślony głęboko zdawał się zapominać o obecności żony. W przedziale robiło się coraz cieplej, kwiaty leżące na kolanach młodej kobiety mdlały, wydając odurzający zapach.

Po jakimś czasie mężczyzna podniósł głowę.

— Gorąco — może chcesz wody kolońskiej?

— Nie, dziękuję ci bardzo.

— A może czekolady?

— Nie, dziękuję, nic mi nie potrzeba.

— W takim razie pozwolisz, że wezmę sobie.

— Od kiedy ty jadasz słodycze? — spytała Marja z uśmiechem.

Ale Władysław, nie zważając na to pytanie, już zdejmował małą walizeczkę. — I wkrótce zawartość pudeł-

ka zaczęła znikać, dzięki apetytowi żony.

— Zawsze namawiasz mnie do złego, roześmiała się, lekko uderzając męża po ręce. I znów spostrzegła, że ciemne oczy nieznajomej spoczywają na nich z wyraźną sympatją.

Zbliżała się pora obiadowa. Dyplomaci z wielkiemi cygarami w ustach przeszli do wozu restauracyjnego, tylko obca pani pod oknem siedziała nieruchomo, napozór zatopiona w książce. Po pewnym czasie spojrzała na wysadzany brylancikami zegarek, umieszczony na przegubie ręki. Wolnym ruchem ściągnęła rękawiczki. Palce lewej ręki pokryte były kosztownemi pierścionkami, na prawej ręce nosiła tylko dwie wąziutkie obrączki ślubne połączone na ukos krzyżykiem z czarnej emalji. Marja zauważyła ze zdziwieniem, że mąż jej również zwrócił uwagę na ten szczegół i że patrzy na ową oznakę wdowieństwa z źle skrywanym bólem. Przeczuwała, że między temi dwojgiem istnieje jakiś związek, którego nie umiała sobie wytłumaczyć.

Tymczasem nieznajoma wyjęła z torebki maleńkie wieczne pióro, rozłożyła na stoliku arkusz listowego papieru i zaczęła pisać.

Po jakimś czasie list był gotów, nieznajoma zakleiła kopertę i spojrzawszy ponownie na zegarek, zaczęła się szykować do opuszczenia wagonu. A kiedy pociąg stanął, podniosła się i uprzejmie skinęła głową towarzyszom podróży i znów oczy jej spotkały się na chwilę z oczami mężczyzny. Po jej wyjściu pozostał tylko w powietrzu lekki zapach fiołków, jakim była przesiąknięta jej suknia. Po chwili do przedziału wszedł służący w letniej płóciennej liberji i zabrał neseser. Młodzi ludzie jakby od niechcenia podeszli do okna i zobaczyli, że pani wita się bardzo serdecznie, jakby po długiem niewidzeniu, z trzydziestoparoletnim panem o ogorzałej twarzy wieśniaka. Służba stacyjna wyjmowała z wagonu wielkie płaskie kufry. Za budynkiem stacji na tle pól widać było wygodny wiejski powóz zaprzężony w parę koni. W tym kierunku podążyła pani ze swym towarzyszem. Służący z neseserem w ręku szedł za niemi. Po chwili ten sam służący wszedł do wagonu i podał Władysławowi list, który pani pisała w drodze. Władysław rozerwał kopertę i przebiegł pismo oczami.

Marja w zdumieniu patrzyła na tę scenę, niezdolna pytać. A kiedy pociąg ruszył, wyszeptała: — Zakochała się w tobie... i ty w niej.

Ale Władysław uśmiechnął się smutno.

— To stara kobieta — odrzekł.

Byli sami w przedziale.

— Posłuchaj, opowiem ci bardzo smutną historję.

— Od najmłodszych lat byłem zaprzyjaźniony z Jerzym N. Był on sierotą, zresztą chłopak bardzo zamożny, a tak miły i ładny, że wszyscy nazywali go panienką. Szedłem z nim od pierwszej klasy i razem z nim po ukończeniu szkół średnich wstąpiłem na wydział prawny. Nie rozstawaliśmy się prawie wcale, nie mieliśmy przed sobą żadnych tajemnic, żyliśmy z sobą, obaj jedynacy, jak dwaj bracia. I nagle na trzecim roku prawa coś musiało się stać, bo Jerzy zaczął mnie unikać. Cierpiałem nad tem bardzo, przeczuwałem jakąś intrygę, ale nie widując go prawie wcale, nie mogłem dowiedzieć się przyczyny. Wiedziałem, że ochłodzenie to nie nastąpiło z mojej winy, miałem bowiem zupełnie czyste sumienie. Koledzy moi, widząc, jak mnie to trapi, postanowili na swoją rękę odkryć przyczynę zmiany, jaka nastąpiła w usposobieniu Jerzego w stosunku do mnie. I pewnego dnia dowiedziałem się rzeczy bardzo sensacyjnej. Jerzy zaprzyjaźnił się z innym kolegą. Przed chwilą widzieliśmy go na stacji. Nie ulega wątpliwości, że to był on, poznałem go natychmiast. Ale ta przyjaźń nie była powodem do zerwania ze mną. Jerzy bywając u niego, zakochał się w jego matce, wdowie, kobiecie niezwykłej urody, ale starszej od niego o lat przeszło dwadzieścia i postanowił ożenić się z nią. Bał się, że ja, szczery z nim, jak zwykle, wyśmieję go. Widocznie jednak sprawa zaszła tak daleko, że nie miał już siły zapobiec temu stanowi rzeczy. Wobec tego koledzy postanowili go ratować. Ja, jako uchodzący za najśmielszego, zostałem wybrany na parlamentarza i miałem się udać do tej „strasznej kobiety", której nikt z nas nie znał nawet z widzenia, bo mieszkała przeważnie na wsi, aby wytłumaczyć jej, że nie wolno jej unieszczęśliwiać chłopaka, który mógłby być jej synem. Włożyłem wizytowe ubranie i ufny w swą wymowę poszedłem do niej. Pokojówce, która otworzyła drzwi, podałem kartę i powiedziałem, że chcę mówić z panią domu. Za chwilę weszła do salonu młoda osoba tak prześliczna, że oniemiałem na jej widok. „Jerzy będzie miał uroczą pasierbicę" pomyślałem dowcipnie i złośliwie, to będzie pocieszającą okolicznością w tak niedobranem małżeństwie".

— Chciałem widzieć się z panią domu — powtórzyłem.

— Ja nią jestem — odrzekła, uśmiechając się.

Z nadmiaru zdumienia nie wiedziałem co począć. Ale ona ruchem prawie że macierzyńskim położyła mi rękę na ramieniu i wskazała krzesło. Usiadłem zgnębiony, poprzysięgając sobie w duszy, że ucieknę, nie powiedziawszy słowa. Zaczęła mówić pierwsza.

— Znam pańskie nazwisko z opowiadania Jerzego. Proszę nie myśleć o mnie źle, to jedno, co mogę panu powiedzieć. Ale niech pan uspokoi przyjaciół: nie zostaniemy tutaj, gdzie go wszyscy znają. Natychmiast po ślubie wyjedziemy.

— Więc już tak daleko zaszły sprawy, pomyślałem! — Pożegnałem się z miną, zdaje się, dość niemądrą i wyszedłem. Istotnie wkrótce potem wyjechali i nikt ich więcej nie widział. Mogłem wprawdzie dowiedzieć się od jej syna, co się z niemi stało i gdzie się obracają, ale byłem przekonany, że i on jest związany tajemnicą. Młodość ma swoje prawa: przecierpiałem stratę najlepszego przyjaciela, ale wkrótce zapomniałem o nim.

— Dopiero dzisiaj, po latach przeszło 13-tu spotkałem ją — to była ona. Zmieniła się bardzo mało — niedarmo nazwaliśmy ją Ninon de Lenclos — czas obszedł się z nią bardzo litościwie.. I ona poznała mnie odrazu. Z początku nie chciałem wierzyć swoim oczom dlatego, sięgając po czekoladę, spojrzałem na jej neseser: na karcie wizytowej przeczytałem: M-me Georges N. Kiedy zdjęła rękawiczki, zauważyłem dwie obrączki, połączone żałobnym krzyżykiem.

— Umarł — zawołała Marja.

— Tak — odpowiedział ze smutkiem. A teraz przeczytaj ten list.

„Szanowny Panie — czytała Marja — poznałam Pana odrazu. Zmienił się Pan bardzo niewiele — proszę przyjąć ten komplement od starej kobiety. Coprawda widziałam Pana zaledwie parę chwil 13 lat temu, kiedy to tak mężnie przyszedł Pan ratować przyjaciela ze szponów starej kobiety, ale fotografję Jego widywałam u Jerzego: nie rozstawał się z nią. Powiedziałam Panu wtedy, że proszę, aby o mnie źle nie myślano. Kiedy zauważyłam, że Jerzy zajął się mną tak poważnie, prosiłam, żeby przestał u nas bywać. Wtedy zagroził mi samobójstwem. Wyjechaliśmy do Brazylji, gdzie Jerzy zajął stanowisko w banku, którego wkrótce został dyrektorem. Byliśmy z sobą bardzo szczęśliwi. Ale będę szczera: moje szczęście zatruwała stale myśl, że prędzej czy później musi się to skończyć tragicznie. Wiedziałam, że powinien mieć taką młodą i uroczą żonę, jak ta, którą z radością ujrzałam dziś przy Pańskim boku, a nie kobietę, której młodość była chyba dziełem szatana. Ale Jerzy kochał mnie tak niezmiennie i tak bardzo, że nie chciał wracać do Europy, aby nie spotkać się z krytyką ludzi, którzy go znali. Tam, dzięki pozorom, uchodziliśmy za małżeństwo zupełnie pod względem wieku dobrane.

Dwa lata temu zauważyłam, że w Jerzym zakochała się pewna młoda dziewczyna, którabyłaby mojem zdaniem, najodpowiedniejszą dla niego towarzyszką. Doszło między nami do bardzo poważnej rozmowy, w której wypowiedziałam wszystko, co mnie przez tyle lat prześladowało. Jerzy śmiał się z tego i zapewnił mnie, że nigdy w życiu nie spojrzy na żadną inną kobietę. Ale nie dałam za wygraną. Mówiłam, że powinien się opamiętać, że lepiej będzie, jeśli się usunę z jego życia dobrowolnie, niż żeby kiedyś miał przeklinać swój los, spostrzegłszy, że jestem mu kulą u nogi. Przypuszczałam, że moje rozsądne argumenty odniosły nareszcie skutek i że zgodzi się po namyśle na rozwód. Tymczasem nazajutrz, kiedy rano wyjechałam na codzienną przejażdżkę, Jerzy zastrzelił się Wolał śmierć, niż rozłąkę ze mną. Teraz przyjechałam do Europy na krótki czas, by poznać moją synową i wracam do Brazylji. Tam, gdzie jego grób, tam moje miejsce".

Ale stało się inaczej. W kilka dni później dzienniki doniosły, że pani N., obywatelka brazylijska, zginęła na wsi, w majątku syna, wskutek nieostrożnego obchodzenia się z bronią. Czy to był nieszczęśliwy wypadek, czy też współczesna Ninon de Lencllos nie miała odwagi powrócić do samotnego życia na dalekiej obczyźnie, tam, gdzie ją wzywał obowiązek — nikt się nie dowie. Mogiła biednego romantyka pozostała opuszczona na krańcu świata.

»LA ★ CASA ★ PINTADA«

Francisco Goya — to najbardziej hiszpański z hiszpańskich malarzy. Dziś poświęca się wiele uwagi jego obrazom o tematach rewolucyjnych, które znajdują tyle bezpośrednich analogij z przeżywaną tragicznie wojną domową w Hiszpanji. W Paryżu przydano mu nawet nazwę najlepszego reportera wojennego, reprodukując w pismach jego makabryczne wizje w zestawieniu z fotografjami dzisiejszych walk na półwyspie Iberyjskim

W chwili, gdy trwają walki o zdobycie Madrytu, które pociągają za sobą wiele nowych ofiar w zabytkach sztuki, gromadzonych przez tyle wieków w stolicy bogatego państwa, kto wie, jaki los spotka także i sławną „La casa pintada", gdzie w strzelistych murach i malowniczych ogrodach, Francisco Goya częstym bywał gościem Cayetany de Silva, Duquesy Alba, ostatniej latorośli jednego z najznakomitszych rodów hiszpańskich

Ciekawe i barwne są dzieje pałacu, zwanego „La casa pintada" a potem „Palacete de la Moncloa".

Don Gaspar de Haro y Guzman, Marques de Eliche, ulubieniec Filipa IV-go, mający dla swego nieporównanie wesołego usposobienia wielkie uznanie na dworze, odziedziczył w r. 1660 posiadłość nieopodal stolicy. Tam to, nad brzegami rzeki Manzanares, w okolicy, chłodzonej powiewami śnieżnych szczytów z północy, wybudował sobie Don Gaspar uroczą podmiejską siedzibę, dbając o to, by godnie reprezentowała swego znakomitego właściciela. Włoscy mistrzowie sztuki budowniczej postawili zręby pałacu, który przyozdobili freskami hiszpańscy malarze, kopjując w nich dzieła Rafaela, Tycjana, Van Dycka i Velasqueza. Stąd powstała nazwa ludowa, przydana pałacowi „La casa pintada".

Na sto lat po śmierci Don Gaspara popada w zapomnienie jego wspaniały pałac. — W zapomnienie i ruinę Przywraca go dopiero do dawnej świetności opiekunka sztuk pięknych Duquesa de Arcos. Rozpoczętą przez nią przebudowę zameczku prowadzi i wykańcza jej córka Cayetana de Silva, zamężna Duquesa de Alba. Pozostawiając zarysy budowli, odrestaurowuje pałac w stylu odkrytych właśnie Herkulanum i Pompei, które położone w królestwie Neapolu, należały wówczas do korony hiszpańskiej. — Smukłe kolumny, sklepienia, żywa ornamentyka i bogate sztukaterje, wyposażyły „Palacete de la Moncloa", w nowy blask magnackiej iście siedziby.

Także i otaczające pałac ogrody przeistoczono we współczesnym duchu. Kamienne schody połączyły wznoszące się to znów opadające terasy, umiejętnie rozmieszczone tafle wodne odbijały kamienne ławy, na których zażywano przyjemnego a upragnionego chłodu. Cieniste aleje sprowadzanych specjalnie drzew i krzewów zmniejszały słoneczną spiekotę. Tutaj więc Cayetana Alba spędzała długie tygodnie, uciekając od upałów madryckiej siedziby. Palacete de la Moncloa rozbrzmiało życiem stołecznej arystokracji i członków dworu, bo właścicielka, młoda i piękna, wesoła i zalotna, lubiła otaczać się gronem sympatycznych sobie ludzi. Tutaj to w czasie rozlicznych przyjęć i zabaw, gościł najczęściej Francisco Goya, zażywający już powszechnej sławy. Imię jego złączyło się niebawem na zawsze z nazwiskiem Cayetany Alba. Cieszący się powodzeniem na dworze burbońskim, świetny malarz przekładał nad uroczystości dworskie zacisze ogrodów Palacete de Moncloa, gdzie stworzył liczne swe dzieła. Wśród nich sześć wspaniałych portretów Cayetany de Alba.

Postać jej i oblicze figuruje pozatem często w rysunkach i szkicach mistrza. Widzimy

Dokończenie na str. 24.



„La Maja desnuda".



„La Maja vestida".



Portret księżnej Alby.



Na lewo: „Blondyna" z galerji madryckiej.



Portret jenerała Urrutia z Muzeum del Prado.



„Gra w ślepą babkę" z Muzeum del Prado.



„Los Zancos" z Muzeum del Prado.

PRACE POLSKICH FOTOGRAFIKÓW



„Łodzie"
Fot. Andrzej Progulski, Lwów.

Kilkadziesiąt Salonów, urządzanych kolejno we wszystkich większy miastach Polski, gromadzących prace fotografików polskich i zagranicznych, ujawniło rozmach rodzimej twórczości fotograficznej, stojącej dziś na poziomie światowym, skrystalizowało kierunek pracy polskiego fotografika, będący wypływem lokalnego folkloru, czy słowiańskiej psychiki twórczej. Zdjęcia cechowało większe lub mniejsze zbliżenie do malarstwa, jako temat bojów o jasny kurs — kurs pod pełnym żaglem czystej fotografiki tak w formie, jak i w treści.

Ideałem fotografika staje się obecnie tematyka wyłącznie fotograficzna przez uniezależnienie się od wpływów malarstwa — stworzenie własnej linji twórczej, będącej syntezą możliwości narzędzia pracy i tworzywa — światła i cienia.

O ile starsza generacja ciąży do przejawienia w swoich pracach raczej cech malarskich, o tyle młodzi stwarzają linję niezależną, wyłącznie fotograficzną — linję, z której zda się dziś nawet płynąć nierzadko natchnienie dla mistrzów pendzla.

Na odbytej we Lwowie, w salonach Tow. Przyj. Sztuk Pięknych I. Ogólnopolskiej Akademickiej Wystawie Fotografiki, widzieliśmy pełny wyraz naszych wywodów. Nieokiełznany temperament młodości, niezblazowany kąt patrzenia na świat, na jego wszechmiar i głębię oczyma pełnemi chciwości i radości poznania — to cechy każdego obrazu na tej wystawie.

I nic dziwnego: — obraz, malujący się w duszy młodego artysty, ma swoisty urok wiosny, polot zarania twórczości rutynowanego później mistrza formy. To też wystawę charakteryzowała niespotykana różnorodność tematów, będąca wyrazem nieskoordynowanej jeszcze rodzajowości twórczej młodego polskiego fotografika. Badać wnikliwem okiem objektywu puls życia w każdym jego przejawie: to było wytyczną wystawców.

Młoda fotografika polska kroczy pewnie, by pomóc starszemu pokoleniu mistrzów w dzierżeniu sztandaru kultury narodowej, by siać wśród społeczeństwa zamiłowanie do sztuki i odwieść je od przyziemnych zainteresowań, wskazując wartości bardziej etyczne, szlachetniejsze i — wieczne.

To było ideą organizatora wystawy, Technickiego Koła Fotografów, sekcji autonomicznej przy Tow. Bratniej Pomocy Stud. Politechniki we Lwowie. Jest to jedyna akademicka organizacja fotograficzna w Polsce.

Koło, urządziło w ciągu 5-ciu lat istnienia trzy wystawy lokalne, osiągając w ub. roku możność zrealizowania wystawy ogólnopolskiej. Przygotowując się do tej imprezy, nawiązało Koło kontakt ze wszystkiemi stowarzyszeniami akademickiemi w Polsce i 46 ogniskami polskiego życia akademickiego zagranicą. Wynikiem tej akcji było nadesłanie na wystawę z górą 700 prac. Zważywszy, że w innych środowiskach, poza Lwowem, ruch fotograficzny wśród młodzieży jest słabo zorganizowany — ilość ta jest imponująca.

Wystawa obudziła jednak pewne refleksje. O ile praca młodzieży w kierunku uspołecznienia sztuki — w dodatku sztuki tak demokratycznej, jaką jest bezsprzecznie fotografja — zasługuje na najwyższe uznanie i poparcie całego kulturalnego społeczeństwa, o tyle w jakże dziwnem świetle pozostaje zainteresowanie temi sprawami sfer kompetentnych w propagandzie sztuki i szerzeniu kultu estetyki, jako czynnika par excellence wychowawczego wśród młodzieży i naszego... starszego pokolenia!

Jak nam wiadomo młodzież lwowska pracuje bez grosza subwencji, zdana na własne siły, gdzie zapał i energja młodości musi przebijać się przez obojętność otoczenia. Warto więc zwrócić baczniejszą uwagę na te jej wysiłki. *el.*



„14 lipca w Wersalu".
Fot. Bolesław Stolarczyk (T. K. F.) Lwów.



Na lewo: „Stara Smyrna".
Fot. Andrzej Progulski, Lwów.

MGŁA...
Fot. Tadeusz Merstallinger (T. K. F.), Lwów.

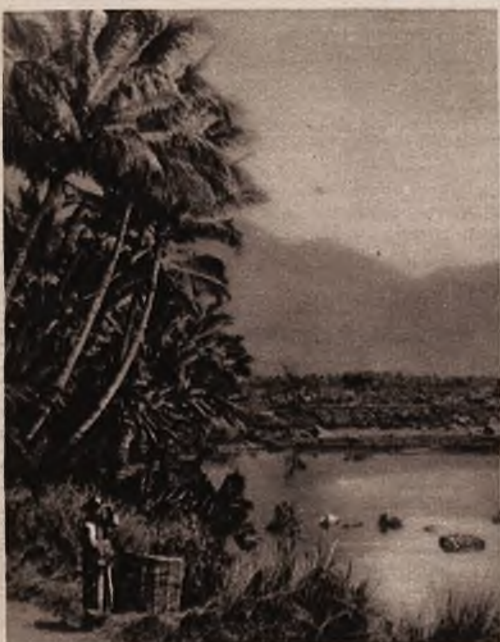


›PERŁY‹ KORONY HOLENDERSKIEJ



Kratery wulkanów na Jawie, widziane z samolotu.

Archipelag malajski, stanowiący jakby pomost między lądami Azji i Australji, jest największym ze wszystkich zamieszkałych archipelagów ziemi. Charakter budowy geologicznej, kierunek łańcuchów górskich, wreszcie podobieństwo świata roślinnego i zwierzęcego, wskazują na połączenie w minionych epokach geologicznych tych wysp z południowo-wschodnią Azją. Obecnie istniejące wyspy malajskie, czyli Indje



Typowy krajobraz jawajski.

Holenderskie, są pozostałością tego olbrzymiego półwyspu, ciągnącego się przed miljonami lat od Birmy, Sjamu i Kochinchiny na południowy wschód, w kierunku Australji.

Wyspy-olbrzymy: Sumatra, Borneo, Jawa, Celebes wraz z licznemi wyspami mniejszemi, powierzchnią swą pięćdziesięciokrotnie przewyższają Holandję, do której należą. Uwagę białych żeglarzy i podróżników przyciągała już od paruset lat najludniejsza i najżyzniejsza wyspa Jawa, zwana nieraz perłą korony holenderskiej. Najpierw zjawili się tu Portugalczycy, wykazujący w wieku odkryć i podróży zamorskich dużą ruchliwość. Po nich przybyli Holendrzy i Anglicy. Panami Jawy i innych wysp malajskich pozostali Holendrzy, natomiast Anglicy, którzy całą swą energję poświęcili dla opanowania Indyj, posiadają jedynie północną część Borneo.

Archipelag malajski stanowi najbardziej niespokojną część skorupy ziemskiej z potężnemi przejawami działalności wulkanicznej. Najsłynniejszym był wybuch wulkanu Krakatau, znajdującego się na małej wysepce, leżącej między Jawą a Sumatrą. Rezultatem gwałtownej działalności tego wulkanu w r. 1883 było częściowe zniknięcie wyspy. Na miejscu dawnych gór, dochodzących do 800 metrów wysokości, powstała głębia 300 metrów. Odgłosy straszliwej erupcji słychać było w promieniu przeszło 3.000 km. Olbrzymiej wysokości fale morskie ruszyły w kierunku zachodniego wybrzeża Jawy, niszcząc wszystko, co napotkały. Liczne wsie nadbrzeżne, urządzenia portowe, szerokie pasy lądu jawajskiego zostały zmyte; trzydzieści kilka tysięcy mieszkańców znalazło śmierć w tej katastrofie. Popioły wulkaniczne zostały wyrzucone do wysokości 30 km, a drobny pył wulkaniczny unosił się przez długie miesiące na znacznych wysokościach, docierając do wschodnich i zachodnich brzegów Afryki, do Panamy i na wyspy hawajskie. Przed kilku laty wulkan wznowił swą działalność, co spowodowało rząd indyjsko-holenderski do poddania tego niebezpiecznego zakątka ziemi pod stałą obserwację. W razie powtórzenia się katastrofy z przed lat pięćdziesięciu obserwatorzy potrafiliby prawdopodobnie przy pomocy nadawczej stacji radjowej, jaką mają do swej dyspozycji, ostrzec najbliższe osiedla ludzkie.

Krakatau leży na linji wyspy wulkanicznych, ciągnących się od zatoki Bengalskiej brzegiem Birmy, poprzez Sumatrę, Jawę, wyspę Flores, Molukki i Filipiny do Japonji i Kamczatki. Znaczna część Jawy pokryta jest młodemi skałami wulkanicznemi; wulkany zaś tworzą charakterystyczne utwory stożkowe znacznej wysokości. Najwyższym jest wulkan Semeru, leżący na wysokości prawie 3.700 metrów; kilkanaście innych wulkanów znajduje się również powyżej 3.000 metrów, a blisko pięćdziesiąt ponad 2.000 metrów. Gdyby poziom morza podniósł się tylko o 100 metrów, wulkany te zamieniłyby się na poszczególne wyspy. Znaczna część wulkanów jawajskich należy do typu wulkanów wygasłych; niektóre jednak dają znać o swem istnieniu, jak np. wulkan Merapi, którego wybuch przed 6 laty poczynił znaczne szkody.

Na Sumatrz wyliczają autorzy holenderscy ponad 100 wulkanów, z których jeszcze 12 wykazuje niszczycielską działalność. Również i na mniejszych wyspach archipelagu malajskiego znane są wulkany; w wielu zaś miejscach występują źródła gorące, których powstanie związane jest z obecną lub dawniejszą działalnością wulkaniczną. Jawa odznacza się wielką osobliwością, a to doliną śmierci „Djamat", w której wydziela się



Malajski sagowiec Cycas Rumphii.

bezwodnik kwasu węglowego. Dno tej dolinki wypełnione jest nieżywemi owadami, które przelatując niebacznie nad szczelinami z wydobywającym się trującym gazem, padają martwe. Zdarza się, że śmierć ziajdują tu i przelatujące ptaki.

* * *

Europejczyk niezbyt łatwo znosi klimat na wyspach malajskich, zwłaszcza w obszarach nizinnych. Powietrze, przesycone parą wodną, jak w szklarni ogrodów botanicznych lub w łaźni parowej, męczy nieprzyzwyczajonego, a nawet drobny ruch i wysiłek, nieostrożne odkrycie głowy, przyprawić może o chorobę, w końcu i śmierć. Natomiast w miejscach wyższych klimat ten staje się znośniejszym, przypominając nawet częściowo klimat Riwiery.

W tym gorącym i wilgotnym klimacie wietrzenie skał odbywa się znacznie szybciej niż u nas. Wulkaniczne skały, andezyty i bazalty, ulegając rozkładowi, dają początek doskonałej glebie, która pozwala na bujny rozrost wspaniałej wegetacji. Obszary nawiedzo-



Król dżungli malajskiej.



Jednorogi nosorożec jawajski.



Olbrzymia jaszczurka z wyspy Flores.



Gibon Wau-wau.



Orangutan.

ne wybuchem wulkanicznym w niedługim czasie pokrywają się bujnym lasem, a przynajmniej krzewami i różnemi gatunkami mniejszych roślin. Rozmaite drzewa i krzewy owocowe rosną bujnie, mogąc wyżywić liczną ludność, dzięki czemu na Jawie może wyżywić się ponad 40 miljonów ludzi.

W niżej położonych częściach Indyj Holenderskich rozwija się bujna roślinność podzwrotnikowa, przypominająca w znacznej mierze dżunglę indyjską, chociaż niektóre z występujących tu roślin nie są znane na lądzie azjatyckim. Charakterystycznemi są lasy „mangrowe" z tysiącami pionowych, zanurzonych w wodzie korzeni, które roślinie służą do pobierania tlenu z powietrza. Jedną z najciekawszych roślin Jawy i Sumatry jest Rafflesia, której kwiat należy do prawdziwych olbrzymów. Kwiat ten pasożytnej rośliny dochodzi do 1 metra średnicy. Czerwonawe jego płatki i silna, chociaż przykra woń, przyciągająca roje much, zapylających kwiat-olbrzym.

Podobnie, jak świat roślinny, tak i świat zwierząt rozwija się bujnie, a szereg jego przedstawicieli nie spotyka się w innych częściach naszego globu. Przeważna ilość zwierząt, występujących na wyspach archipelagu malajskiego, znana jest z obszaru wschodnio-indyjskiego; jedynie wschodnia część archipelagu, a mianowicie wyspa Celebes, wyspy Moluckie i mniejsze wyspy, położone na wschód od Jawy, posiadają niektóre gatunki, zbliżone do australskich.

Z małp najciekawszym jest orangutan. — Obok goryla i szympansa, które żyją w Afryce, jest to trzecia wielka małpa, należąca do t. zw. człekokształtnych. Żyje tylko na Sumatrze i Borneo. Zwierzę to przebywa prawie wyłącznie na drzewach, rzadko tylko schodząc na ziemię, po której porusza się na czworakach. Orangutan żywi się głównie owocami, na człowieka nie napada, lecz zaczepiony staje się bardzo niebezpieczny. Wywożony do zwierzyńców, jak i dla zwolenników metody Woronowa, stał się w ostatnich czasach zwierzęciem rzadkiem i rząd holenderski wydał zakaz chwytania i zabijania go.

Archipelag malajski stanowi ojczyznę dla bezogoniastych gibonów, które obok wymienionych dużych małp są najinteligentniejszemi przedstawicielami małpiego rodu. Osobliwością wyspy Borneo — to małpa nosacz, odznaczająca się niezmiernie wydatnym nosem. Prócz małp właściwych, znanych i z innych gatunków, na wyspach malajskich występują i lemury, z któremi blisko spokrewniony jest „wyrak upiór" Tarsius spectrum: jest to niewielkie zwierzę nocne, o dużych oczach i niesamowitej fizjognomji.

Wśród licznych gatunków nietoperzy na uwagę zasługują kalongi czyli rudawki, żywiące się wyłącznie owocami, dochodzące do wielkości naszego kota; ich rozpostarte skrzydła dochodzą do półtora metra długości. Z drapieżców obok pantery żyje tygrys, znany jest z Jawy i Sumatry; niema go na Borneo.

Rzadkiemi stają się nosorożce. Na Jawie żyje jednorogi nosorożec jawajski; na Sumatrze na jego miejscu występuje dwurogi nosorożec sumatrzański. Ilość tych dwu gatunków nosorożców znacznie zmniejszyła się w ostatnich dziesiątkach lat. Jedną z przyczyn, to polowania namiętnych myśliwych, dla których głowa nosorożca należy do najsorożca do Chin. Na Sumatrze z dużych ssaków żyje słoń i tapir, którego krewniaków spotkać można dopiero w Ameryce. Licznemi są jelenie, nie brak również krewniaków indyjskiego bawołu. Na Celebesie znane są dwa rzadkie zwierzęta, a mianowicie bawół karłowaty i Babirussa, szczególny gatunek dzikiej świni z niezwykle rozwiniętemi kłami u samców.

Z ptaków występują na archipelagu malajskim dzióborożce, różne barwne gołębie, liczne gatunki pięknie ubarwionych papug i papużek. Jedną z osobliwości Sumatry jest bażant argus o wspaniałym wachlarzowym ogonie. Nie brak także ptaków, stanowiących tylko odmiany ptaków spotykanych u nas, jak jaskółki jawajskie, sikorki, czy wrony.

Niezmiernie bogatym jest świat wężów. Nie brak wśród nich gatunków jadowitych, których ukąszenie sprowadza śmierć. Nie jest wolne od nich i morze w pasie przybrzeżnym. Pospolitemi są również jaszczurki i żółwie. Osobliwością wśród jaszczurek — to smok latający (Draco volans), posiadający między przedniemi i tylnemi odnóżami rozpiętą błonę, która służy mu nieraz jako spadochron. Na niewielkiej wyspie Flores, leżącej na wschód od Jawy, żyje największa z jaszczurek Varanus komodoensis. Na Jawie i Borneo spotykane są też gawiale, spokrewnione z krokodylami.

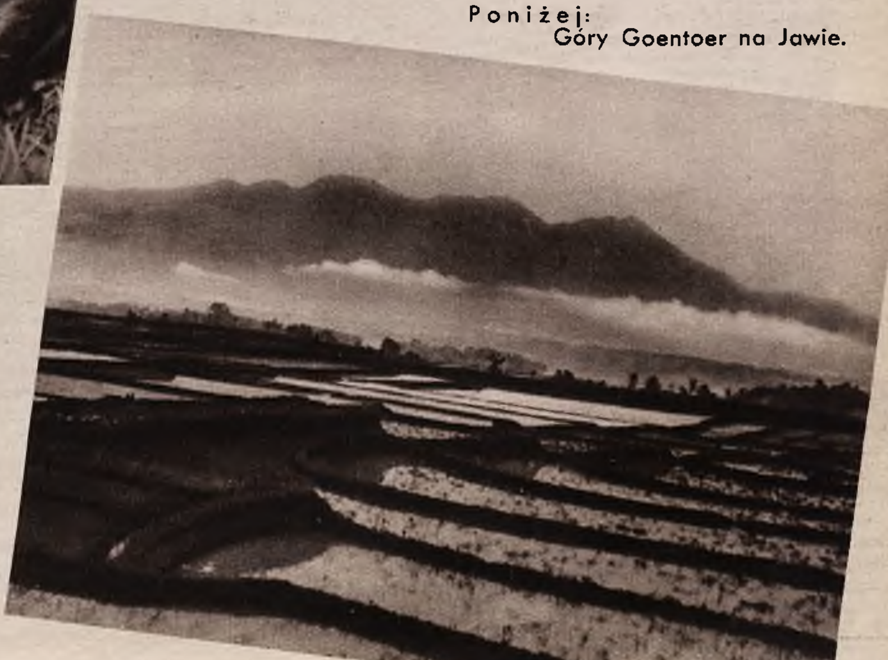
* * *

Z roku na rok jednak zmniejsza się i obszar podzwrotnikowej dżungli archipelagu malajskiego. Coraz większe obszary przeznacza się pod plantacje, w coraz to nowych miejscach odkrywa się bogactwa kopalne, stwarzając ośrodki przemysłowe. Ilość niektórych, zwłaszcza zwierząt, zaczęła się w ostatnich latach gwałtownie zmniejszać i dla uratowania tych ciekawych przedstawicieli królestwa fauny tworzy się rezerwaty. Obecnie na archipelagu malajskim istnieje 76 rezerwatów, z czego 55 znajduje się na Jawie.

Wspaniała przyroda Indyj Holenderskich przyciągała nietylko podróżników i turystów z całego świata, lecz i uczonych, a zwłaszcza botaników. Wśród badaczy, którzy tu pracowali, nie brakło i Polaków. Z botaników wymienić możemy prof. Wład. Rotherta, Marjana Raciborskiego i Kaz. Roupperta; z zoologów: autora pięknej książki o Jawie, prof. Michała Siedleckiego. W górniczym przemyśle Indyj Holenderskich nierzadko zatrudnieni byli i są Polacy, a obecnym szefem poszukiwań geologicznych Jawy i Sumatry jest również Polak, dr. inż. Józef Zwierzycki.

Dr. M.

Poniżej:
Góry Goentoer na Jawie.



Tancerki Trudi Schoop



Powyżej: Za kulisami, przed wyjściem na scenę.



Na prawo: Trudi Schoop.



Powyżej: „Kawaler i dama", taneczna parodja na stare, dobre czasy.



Na lewo: Tancerki zespołu Trudi Schoop „po cywilnemu",



Poniżej: Apoteoza życia.



Na prawo: Fragment groteski p.t. „Parada kelnerów".

Niejeden z nas zdołał zauważyć różne śmiesznostki ludzkie, niejeden podpatrzył scenę z bieżącego życia, pełną komizmu. Tacy obserwatorzy śmiesznych stron życia stają się, o ile są wyposażeni w zdolności rysownicze, karykaturzystami, inni zaś, władający piórem lub „Remingtonem", humorystami. Rzadko jednak zdołał ktoś przetworzyć te „podpatrzenia" komizmów sytuacyjnych w sztukę plastyczną — taniec. Ale oto szwajcarska

Trupa taneczna pod przewodnictwem i reżyserją Trudi Schoop wzbudza od pewnego czasu ogólny zachwyt amatorów choreografji, zabarwionej, w tym wypadku, specjalnym „smaczkiem". Wesoła ta „banda taneczna" w sposób wysoce ciekawy i artystyczny parodjuje nieraz drobne, codzienne, komiczne sytuacje, a ile w tych obrazach tanecznych jest ekspresji, zobaczycie na zamieszczonych obok zdjęciach.

JULJUSZ KĘDZIORA

Bufetowa.

SZKIC, WYGŁOSZONY NA „WIECZORZE LITERACKIM" W AULI U. J.

— Proszę pomarańczę!
— Dla mnie dwie bułki!
— Za długo odchodzi pociąg?
— Za dziesięć minut.
— To jeszcze zdążę wypić herbatę. Proszę z cytryną! Tylko, żeby była gorąca.
— Dwa płaskie i pudełko zapałek!

Bufetowa zwija się. Nalewa herbatę, daje bułki i co tam kto zamówił, zbiera pieniądze, wydaje...

Na peronie zabrzęczał dzwonek. Podrzucił nawet kilku pasażerów, którzy się nie denerwowali za stołem. Ci, bardziej nerwowi, porwali pakunki, tobołki i pół biegiem mknęli ku drzwiom. Zgnietli się przy nich, powiedział jeden drugiemu naprędce parę niemiłych słów i rozwiało ich z wiatrem i śnieżycą po otwartym peronie.

W poczekalni, herbata parzyła wargi, bufetowa wydawała resztę za pomału, a kąt ze spluwaczką przyjmował pospiesznie niedopałki z papierosów.

Po przeciwnej stronie stacji zawarczał motor autobusu i ucichł.

Przez poczekalnię przegalopowało paru żydków, zgiętych w literę „s", z pakunami w ręku, przedreptała paniusia z dzieckiem i z walizką, przeszedł żyrafim krokiem drugorzedny elegant i ktoś tam jeszcze.

Drzwi na peron trzaskały już, jak karabin maszynowy starego systemu.

Na te trzaski zwalił się grzmot pociągu pospiesznego.

Ale wnet ucichł, a na wierzch wydostały się zpowrotem trzaski drzwi i krzyki ganiających wzdłuż pociągu.

Potem wszystko pognało razem z wichurą. Na stacji resztki głosów powłaziły w noc i zrobiło się cicho.

Bufetowa myje szklanki, ustawia to i tamto, liczy pieniądze...

— Dziewięć złotych, osiemdziesiąt. Dla mnie dziewięćdziesiąt osiem groszy.
— Czy dostanę jeszcze ciepłej herbaty?
— A pan się spóźnił?
— E, nie... Właściwie, to... spóźniłem się trochę...

Bufetowa nie pierwszy dzień stoi za ladą. Wie, że to jest taki pasażer, który nie ma pieniędzy na pociąg pospieszny.

— Pan pojedzie o trzeciej na Lwów?
— Uhm.

Tak, jak się spodziewała. Nie pyta więcej. Nie dziwi się. Myje ostatnią szklankę i chowa dwadzieścia groszy do szuflady.

— Równe dziesięć — myśli. — To złoty.

Dokłada parę węgielków do żelaznego piecyka, skręca lampę naftową, owija się szalem. Chciałaby się zdrzemnąć. Tylko ten niezamożny pasażer chodzi po sali. Tłuką się jego kroki o puste ściany, tłuką się w uszach bufetowej

Bufetowa nie pierwszą noc chce się zdrzemnąć. Wie, że pasażer się zmęczy i przestanie chodzić. A sapanie chłopa i baby, co śpią oparci na stole, wcale jej nie przeszkadza. Ani też ta szyba źle okitowana, którą wiatr tłucze.

Tylko to chodzenie. Buch-buch, buch-buch, wali w uszy jednostajnie... Szurgot okręcanych obcasów w jednem miejscu i znowu: buch-buch, buch-buch...

Kaprawe światło lampy naftowej, zawieszonej u sufitu, łazi lepko po kątach, cieknie po brudnych ścianach...

— Złotego mam teraz — myśli bufetowa. — Przedtem siedemdziesiąt groszy... O trzeciej pewnie będzie z pół złotego. Dwa, dwadzieścia. Z rannego nie będzie nic. Robotnicy, studenci... może dziesięć groszy... Żeby to na mieszkanie uskładać te piętnaście złotych i nie wisieć z długiem!... Stasiowi muszę buty podzelować... Skąd wezmę? — marszczy czoło i patrzy w kąt między ścianą a sufitem Tam tyle światła, że nawet pajęczyny nie widać. — Pończochy też-by mu się przydały — myśli beznadziejnie. — On teraz pewnie śpi Biedny. — Przez zamknięte oczy widzi głowę swojego synka. Pod głową... poduszka. Niewielka, ale poduszka. A tu tylko rama gablotki. Tam łóżko, można się wyciągnąć, przykryć... Bufetowa doznaje dziwnego bólu w zmarzniętych nogach, plecach, wszędzie. Zimno przechodzi ją tak, że już przestaje go czuć.

Bufetowa drzemie. Nie słyszała nawet, kiedy ubogi pasażer przestał chodzić. Budzą ją jakieś głosy. To posterunkowy. Wypytuje o coś śpiącą parę chłopów. On tłumaczy mrukliwie, że się spóźnił z żoną na pociąg. Czeka na następny. Posterunkowy przyjmuje widocznie to wytłumaczenie, bo idzie do drzemiącego na rogu stołu pasażera. I ten jest w porządku. Wreszcie podchodzi do jakiegoś typa, który chce wycisnąć resztki ciepła z wielkiego pieca.

— Pewnie bezdomny. Będzie awantura — myśli bufetowa chura. Posterunkowy wyprowadza bezdomnego.

Otrzepuje się z zimna. Za oknem huczy wi-

— Nie było awantury — myśli zadowolona.

I jest wdzięczna. Niewiadomo komu. Chyba temu z pod pieca, że awantury nie zrobił.

Tylko chłop z babą rozbudzili się i mruczą coś o rozprawie sądowej rano, na którą czekają. Pasażer niezamożny też się rozbudził. Ogląda afisze i ogłoszenia.

— Trzeba dołożyć węgli, bo wygaśnie

Bufetowej nie chce się ruszać, a jest zadowolona, że jak wstanie, to się trochę zagrzeje.

— Pierwsza trzydzieści siedem — patrzy na zegar Dokłada węgla. Owija się szalem. Siada zpowrotem na krześle i przysuwa się jaknajbliżej pieca.

Oszczędnościowy piecyk słabo grzeje. Duży piec poczekalniany wystygł dawno. A zawieja wali w drzwi, w szyby, zimno tłoczy się przez szpary, przenika ściany, przechodzi ciało bufetowej. Ona ma oczy zamknięte. Niby drzemie. Ale słyszy kroki pasażera: buch buch, buch-buch... Nawet jej już nie sprawiają przykrości. Przeciwnie. Dobrze, że tak chodzi. Jakoś zimno nie jest takie martwe.

A wichura wali w ściany i wyciąga resztki mdłego, smrodliwego ciepła.

Trzask drzwi wejściowych otwiera bufetowej oczy. Za nim wwala się stuk dwóch par butów. Do bufetu podchodzą kolejarze.

— Dzińdobry pani — pozdrawia jeden paufale. — Jakże zdróweczko? — tupie nogami.

— Nima, jak tak. Siedzieć przy piecyku, wygrzewać się, a my musimy ganiać w taki psi czas — zaciera ręce drugi.

Bufetowa śmieje się skostniałym uśmiechem i podkręca lampę.

Kolejarze wchodzą za ladę.

— Zagrzejemy się i my trochę. Niech tam pani zrobi dwie herbatki. Bułeczki są?
— Są.
— To sobie zjemy z kiełbasą.
— A dajno paniusia kwatereczkę. Co, Władek? To najlepsze na rozgrzewkę.
— Hehehe! — śmieje się Władek.

Bufetowa robi herbatę, kraje bułki i oblicza w myśli nadzwyczajny dochód. Będzie już trochę na pończochy dla Stasia. Jeszcze jeden taki nadzwyczajny dochód!...

Kolejarzom robi się coraz weselej. Zamawiają drugą kwatereczkę, kanapki i zaczynają śpiewać chrapliwie. Wybekują pieśni erotyczne na temat: „Maniusia mi spać nie daje...".

Bufetowa się uśmiecha. Uśmiecha się wytrwale. Chwilami robi jej się nawet cieplej. Zwłaszcza, gdy kolejarze podstawiają ją za którąś z bohaterek swoich pieśni i sączą lepkie dowcipy na jej temat. Głos ich nierówno tłucze się po ścianach.

A bufetowa się uśmiecha..

Kolejarze patrzą na zegar, płacą i wynoszą się

Bufetowa przestaje się uśmiechać. Myje szklanki i cieszy się na te pończochy dla Stasia, które mu prawdopodobnie będzie mogła kupić. Dziwi się, że ubogi pasażer tak szybko chodzi po sali. — Że go też nogi nie zabolą?... — myśli. I uśmiecha się. Niezamożny pasażer też się uśmiecha.

Tymczasem na salę weszła jakaś gruba godność, zatarła ręce, pociągnęła nosem, powiedziała „fuj!" i wyszła. Za chwilę przywlekła się sucha żydówka, objuczona, jak wielbłąd, tobołami. Zwaliła je na stół razem z głośnem stęknięciem.

— Pociong jeszcze nie poszed? — spytała się ubogiego pasażera.

Ten, tylko ruchem głowy jej odpowiedział.

Powoli, po jednemu, po dwóch, zaczęli się schodzić ludzie. Chłop z babą znowu się rozbudzili, kroki pasażera już nie dudniały tak, zmieszane z innemi.

Do pieca co chwilę ktoś podchodził i dotykał ostrożnie ręką, poczem machał nią z lekceważeniem. Przy bufecie był średni tłok. Po sali spacerowało kilku zmarzniętych i zdenerwowanych. Na ławach siedzieli ludzie spokojni. Niektórzy z nich spluwali na posadzkę.

Przed stacją brzęczały sanie. Do poczekalni ludzie wpadali, włtaczali się...

A przy bufecie:

— Dwie herbaty! Tylko gorące!
— Proszę bułkę!
— Pudełko płaskich!
— Dużo jeszcze czasu do odejścia pociągu?

Na peronie zacharczał dzwonek.

Większa część pasażerów rzuciła się do drzwi. Wichura wyrżnęła w nich śniegiem i wpadła do poczekalni. Drzwi nie mogły się zamknąć, odpychane łokciami i tobołkami. Przy lądzie, ten wyparzał sobie usta herbatą, ów dopinał płaszcza, wciągał rękawiczki.. W kącie, koło spluwaczki mnożyły się odpadki z papierosów.

Na peronie zaszumiał zajeżdżający pociąg Drzwi zaczęły pospiesznie wypuszczać resztki czekających.

Jeszcze przez jakiś czas słychać krzyki, biegania, syk ruszającego pociągu...

Bufetowa myje szklanki, porządkuje wszystko, liczy pieniądze...

— Siedemdziesiąt osiem groszy dla mnie — mruczy. Dokłada parę węgielków do pieca i siada przy nim.

W poczekalni niema nikogo. Ubogi pasażer pojechał, chłop z babą się wynieśli. Lampa z zakopconego szkła już nawet kątów doszukać się nie może.

Tylko zegar idzie zdrowo i równo.

Bufetowa drzemie skostniałym snem...

Następny pociąg o siódmej.



Na lewo: Griffin, bohater „Niewidzialnego Człowieka" Wells'a, pracował przez szereg miesięcy nad wynalezieniem środka, powodujacego bezbarwność czerwonego barwika krwi...

Na prawo: Istnieją aparaty, wytwarzające promienie, które powodują pozorną niewidzialność człowieka...



Przechodzimy przez życie, napotykając na szereg problemów, które w pierwszej chwili wydają nam się trudne do zgłębienia jako tematy, przeznaczone do rozważań czysto naukowych.

A jednak, gdy sięgniemy po jakąś fantastyczną powieść i zaczytamy się w arcyciekawych, choć mało prawdopodobnych przygodach jej bohaterów, owe trudne problemy naukowe stają nam się zaraz bliższe i zaczynamy przypominać sobie przeróżne wiadomości z dziedziny fizyki czy chemji, które dotąd drzemały w nas, uśpione w ciągu lat, dzielących nas od odległych studjów gimnazjalnych.

Tego rodzaju powieści, w których fabuła oparła się na zagadnieniach wiedzy ścisłej, pobudzają fantazję nietylko młodzieży, skłonnej do śmiałych rojeń o genjalnych wynalazkach, ale i młodych naukowców, spełniając w tym ostatnim wypadku rolę nawet silnego bodźca. Wystarczy przypomnieć naprzykład genjalne wizje Jules'a Verne'a i jego licznych naśladowców, by zdać sobie sprawę z przemożnego ich wpływu na rozwój techniki naszego stulecia.

PROBLEM

»niewidzialnego człowieka«

W niejednym wypadku rozumowania autorów oparły się na dowolnej interpretacji problemów naukowych i dotykały wniosków, które tylko fantazja mogła wysnuć z obecnego stanu naszej wiedzy. I ta właśnie dowolność wpłynęła na podniesienie emocjonalnej wartości tego rodzaju powieści, czytanych z największem zainteresowaniem przez młodzież i starszych.



Griffin — Niewidzialny Człowiek Wells'a w filmie Universalu.

* * *

Przed dwoma tygodniami pojawiła się w prasie wiadomość, że uczonemu włoskiemu, prof. Mancini z Medjolanu udało się skonstruować aparat, którego promienie powodują niewidzialność człowieka. Przeczytałem tę notatkę w chwili, gdy kończyłem właśnie lekturę świetnej powieści H. G. Wells'a, poruszającej ten zawiły problem, a która może już po raz trzeci w życiu dostarczała mi tematu do interesujących rozważań. Historję życia bohatera „Niewidzialnego Człowieka" Wells'a, studenta Griffina oglądaliśmy na filmie, który wiernie oddał wszystkie jej szczegóły, a pod względem techniki wykonania tricków był niezrównany. Po jego premjerze odżyła znów u wielu myśl odnalezienia drogi, któraby doprowadziła ludzkość do rozwiązania problemu niewidzialności. Jeden z moich przyjaciół, inżynier chemji i zwolennik naukowych dyskusyj na każdy interesujący temat, który nigdy przedtem nie czytał „Niewidzialnego Człowieka" Wells'a, dopatrzył się odrazu w filmie szeregu nieścisłości naukowych.

— Przedewszystkiem — dowodził on — Wells popełnił kapitalne głupstwo, mieszając proces chemiczny z działaniem utrwalającem jakichś zagadkowych promieni, wytwarzanych przez dwa ośrodki promieniujące maszyny, posiadające cechy eterycznych wibracyj. Trzeba bowiem przyjąć albo możliwość chemicznej przemiany komórek ciała ludzkiego bez pozbawiania ich zasadniczych właściwości, albo zastosować poprostu zwykły trick optyczny, polegający na umiejętnem operowaniu promieniami świetlnemi.

— Pod tym względem może masz rację — odpowiedziałem mu — Griffin, ów genjalny wynalazca z powieści Wells'a, obrał początkowo drogę, na której zamierzał zgłębić problem gęstości optycznej. W rozmowie ze swym kolegą szkolnym, dr. Kempem dowodzi on, że odkrycie metody, przy której pomocy byłoby rzeczą możliwą bez zmiany innych własności materji z wyjątkiem barwy zmniejszyć stopień refrakcji stałych i płynnych substancyj do stopnia załamywania się światła w powietrzu tak dalece, jak tego wymaga cel praktyczny, doprowadzić może do niewidzialności człowieka.

Widzialność polega na wpływie ciał widzialnych na światło. Ciało pochłania, odbija, albo wreszcie załamuje światło, lub czyni to wszystko razem. Ciało, które nie odbija, nie załamuje, ani nie pochłania światła, nie może samo przez się być widzialnem. Pudło z nieprzeźroczystego czerwonego papieru widzimy jako czerwone, ponieważ kolor jego pochłania część światła, a odbija resztę, w tym wypadku czerwonego światła. Gdyby kolor nie pochłaniał żadnej części światła, lecz odbijał całe, to widzielibyśmy pudło jako białe i błyszczące jak ze srebra. Pudło z cienkiego szkła nie wchłania niemal nic światła, a załamuje lub odbija niewiele i dlatego przy słabem oświetleniu trudno je spostrzegamy. Tafla zwyczajnego białego szkła,

włożona do wody lub do płynu gęstszego od wody, zniknie nam z oczu niemal całkowicie, ponieważ światło przechodzące z wody do szkła jest tu tylko w małym stopniu załamane, odbite lub zmienione — analogicznie do tego, które np. przechodzi z cząsteczek powietrza do cząstek unoszącego się w nim gazu. Sproszkowane szkło, wsypane do wody, znika, posiadając ten sam co cząsteczki wody współczynnik z a ł a m a n i a światła.

— I cóż stąd wynika? — przerwał mi przyjaciel interesujący wywód. — Rzecz przejrzysta staje się niewidzialną przez dostanie się do jakiegokolwiek ośrodka o tym samym współczynniku załamania światła. Nic w tem nowego! Przecież papier fabrykuje się z przejrzystych włókien, a jednak jest on biały i nieprzeźroczysty. Dopiero, gdy nalejemy na niego oliwy i wypełnimy tłuszczem przerwy pomiędzy cząsteczkami, przez co zniesie się załamanie światła wszędzie z wyjątkiem powierzchni, papier stanie się przeźroczysty prawie jak szkło. Ale cóż to ma wspólnego z niewidzialnością ciała człowieka?



Griffin podczas kolacji w gospodzie — scena z filmu „Niewidzialny człowiek" Wellsa. *Fot. Universal.*

— Widzisz — zabrałem znów głos — Griffin dowodzi, że całe nasze ciało za wyjątkiem czerwonych ciałek krwi jakoteż czarnego barwika włosów, złożone jest z przejrzystej bezbarwnej tkanki, analogicznie do komórek larw morskich i ryb galaretowatych, które znikają w wodzie. Tylko że skład chemiczny ludzkich komórek, oraz substancje, łączące je, są odmienne i aby zmniejszyć ich gęstość optyczną trzeba zastosować środki chemiczne o specjalnem działaniu. Bohater powieści Wells'a odkrył na drodze żmudnych badań te chemikalja — co więcej, udało mu się wpaść na składnik chemiczny, który powoduje, iż czerwony barwik krwi staje się białym, bezbarwnym, zatrzymując równocześnie wszystkie swoje właściwości.

— Gdyby tak rzeczywiście było, ten twój, a raczej wellsowski Griffin dokonałby niebylejakiego odkrycia fizjologicznego. Ale chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że w obecnym stanie naszej wiedzy jest to zgoła wykluczone — zakończył mój przyjaciel dyskusję, którą wywołał świetny film Universalu.

* * *

Przed kilkoma dniami spotkaliśmy się znowu. I on czytał notatkę o aparacie medjolańskiego cudotwórcy, prof. Mancini.

— No i cóż ty na to? — starałem się go sprowokować do nowej rozmowy. — Ten Włoch, to prawdziwy genjusz!

— A rzeczywiście... tylko, że grubo przed nim już ktoś inny wpadł na analogiczny pomysł. Przypominam ci notatkę o wynalazku pewnego Węgra, za który wedle informacyj prasy miał Ford zapłacić miljon dolarów. Ale i wpierw jeszcze jakiś pomysłowy impresarjo w Paryżu otworzył teatrzyk, w którym ludzie stawali się niewidzialni przez działanie jakiegoś tajemniczego aparatu. Dla mnie nie ulega najmniejszej wątpliwości, że we wszystkich tych wypadkach chodzi o interferencję fal (promieni) świetlnych, którą wykrył Francuz Fresnel, a w wyniku której następuje t. zw. wygaszenie światła na powierzchni jakiegoś ciała lub przedmiotu.

— Ależ tak! masz rację! — przerwałem mu. — Tylko wygaszenie światła może powodować pozorną niewidzialność. Wszystkie inne drogi doprowadzą nas do absurdu! Rozważając w myśl teorji Griffina możliwość uczynienia ciała ludzkiego niewidzialnem przy pomocy chemicznych i elektrycznych wpływów, musimy zawsze pamiętać o tem, że składa się ono z miljardów komórek, które skolei składają się znowu z kilku substancyj o różnych współczynnikach załamania światła. Promienie świetlne padając na tego rodzaju ciało, przeistoczone pod wpływem środków chemicznych, i to nawet prostopadle do powierzchni, wyszłyby z niego załamane w różnych kierunkach, wskutek czego musiałoby ono pozostać widzialne — podobnie jak widzimy matową szybę, choć jest ona zrobiona z tego samego szkła, co zwykła, nie matowa, a więc przeźroczysta.

— Zostawmy więc fantazję Wells'a na boku — kontynuował przyjaciel swój wywód — i przejdźmy do owego wygaszania światła. Eksperyment może się tu udać tylko w zamkniętej przestrzeni, wyłożonej zupełnie czarnym papierem lub materją. Ten właśnie szczegół, wymieniony zresztą w notatce o wynalazku prof. Mancini, upewnił mnie, że chodzi w tym wypadku o interferencję fal świetlnych. Współczesna fizyka wie, że światło jako ruch falowy eteru może ulec przez interferencję wygaszeniu. Nie wiem, czy pamiętasz, jak się to odbywa?

— O ile mnie pamięć nie myli, to w sposób następujący: Źródło światła powstaje przez drganie elektronów, które im jest szybsze, tem silniejsze i jaśniejsze światło wywołuje. Drgające elektrony pobudzają cząsteczki eteru (nie powietrza!) do poprzecznego falowania, przez co powstaje promień świetlny...

— Otóż właśnie! Dwa takie promienie, o tej samej sile i długości fali (vide rysunek!), pochodzące koniecznie z jednego źródła światła, ale w stosunku do siebie przesunięte o pół długości fali, zamieniają się na powierzchni przedmiotu, czyli w miejscu interferencji w energję cieplną, tracąc tam wszystkie swe właściwości świetlne i powodując, że przedmiot staje się na czarnem tle niewidzialny, a na jasnem wychodzi jako czarna sylwetka. Mam wrażenie, że „genjalny" prof. Mancini w ten właśnie sposób wywołuje znikanie swych medjów...

* * *

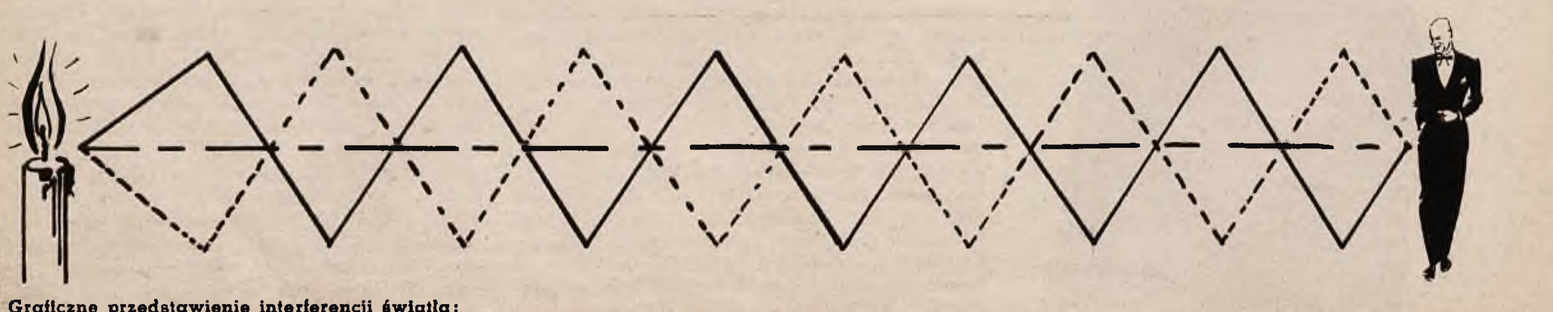
Problem niewidzialności, chyba tak stary, jak ludzkość, gnębił już średniowiecznych alchemików, którzy lata całe przesiadywali w mrocznych swych laboratorjach w poszukiwaniu „kamienia filozoficznego", który prócz wiecznej młodości i możliwości przemiany różnych metali w złoto miał również posiadać moc czynienia człowieka niewidzialnym.

I jeszcze nieraz w latach przyszłych pojawią się sensacyjne notatki o wynalazcach, którym rzekomo udało się rozwiązać problem Niewidzialnego Człowieka. Będą to chyba zawsze tylko mniej lub więcej szczęśliwe próby, nie wychodzące poza ramy eksperymentów, które przyszłym pokoleniom — podobnie, jak teraz nam — przywodzić będą na myśl średniowieczne baśnie i legendy o tajemniczych proszkach i ziołach, powodujących znikanie człowieka.

Juljusz Leo.



Scena zdemaskowania Niewidzialnego Człowieka *Fot. Universal*



Graficzne przedstawienie interferencji światła: Dwa promienie świetlne (linja pełna i kropkowana), które wygaszają się na powierzchni ciała człowieka czyniąc go pozornie niewidzialnym. — Rys. autora.

POWĄTPIEWANIE...

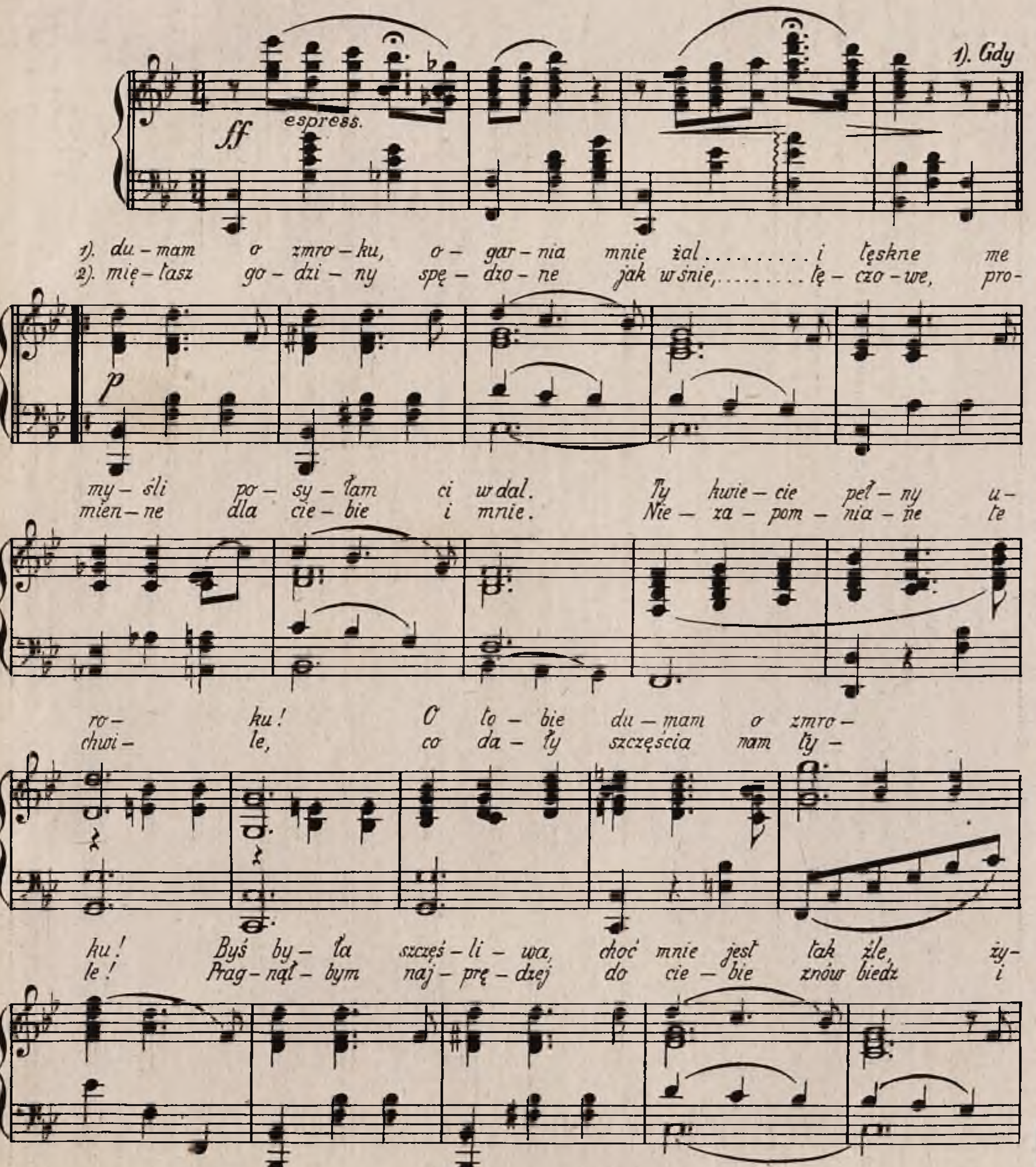


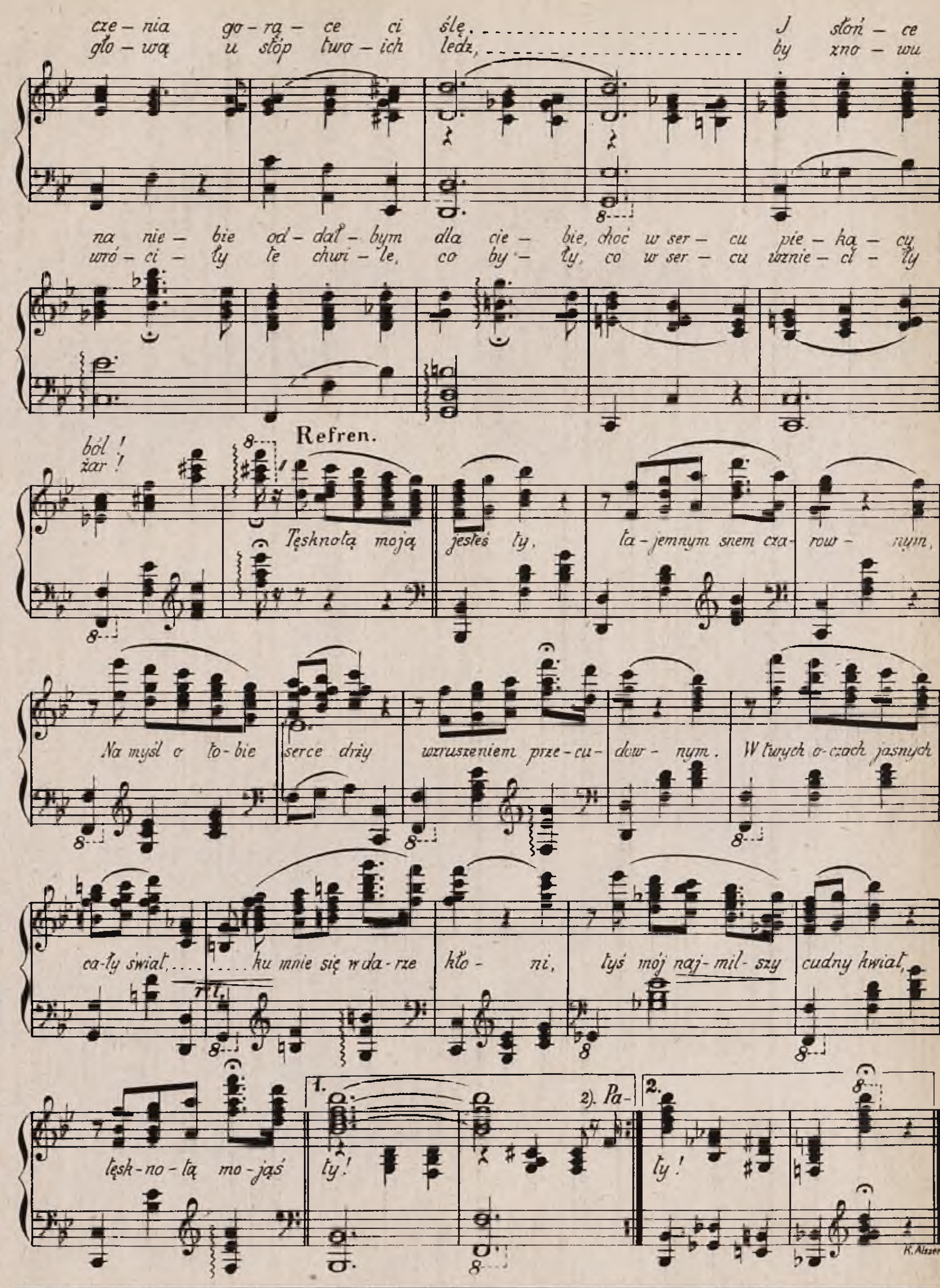
PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

TĘSKNOTA

WALC

Muzyka:
STANISŁAW SKARBEK-MALCZEWSKI





KRZYWY ŚCIEG

NOWELA

IRENA WIELGUSÓWNA

Ilustr. A. ŻMUDA

Wychylił z poza gzymsu puszysty, srebrem obszywany kołnierzyk, szybkim skrętem maleńkiej głowy spojrzał w lewo i w prawo — a potem sfrunął wprost ku kałuży, szeroko rozlanej tuż koło chodnika. Za nim pospieszyły inne.

Kąpały się gołębie, roztrzepywały pióra, nadymały wielobarwne szyje, jak maleńkie, lśniące baloniki. Rozpryskiwały wodę po białych, wymytych kamieniach i przekomarzały się niskiem, zachrypłem gruchotaniem, głęboko uwięzionem w gardle.

Cicho rozdźwięczała się wieża. W szerokiej, poczerniałej piersi rozkołysało się serce i biło. Rozmodlił się dzwon i rojem tonów grał w wieży, jak w ulu.

Rozedrgała się od stóp aż do szczytu.

U Świętej Barbary śpiewano godzinki.

— Zacznijcie wargi nasze... — piskliwie wyciągały baby.

Rdzawe liście kasztanów leniwie opadały z drzew na czerwone, po nocnym deszczu mokre jeszcze stoliki. Ciche, przyczajone poszepty odzywały się chwilami, to tu, to tam. Gdy spadał oderwany liść, lub staczała się duża, wśród gałęzi zatrzymana gdzieś kropla.

Jesienią ubarwione planty, nadsłuchując, oczekiwały świtu.

Przesiewał się przez mgłę białą, zwisającą ciężko tuż ponad ziemią, srebrem słonecznych nici wyszywał jasne wzorki. Po bruku i na murach kamienic.

Mały piekarczyk z koszem pełnym rumianych bułek siedział na schodach zamkniętego jeszcze sklepu i drzemał.

— A zbudź no się, Antek, i czapkę zdejm z głowy! Nie słyszysz to, że na Anioł Pański dzwonią... — od stragana zawołała gruba pani Malinowska, układając w koszu duże, zielone główki kapusty.

Podniósł się leniwie, zaspane oczy przetarł rękami i skłonił się pani kupcowej, która brzęcząc kluczami, szła właśnie otwierać sklep.

— Przybądź nam, miłościwa Pani, ku pomocy... — płaczliwie u Świętej Barbary zawodziły baby.

Pani Malinowska wtórowała im mrukliwie a pobożnie i przy pomocy kulawej Tereski ściągała z wózka przywiezione jarzyny.

Zazieleniły się szerokie stoły pod osłoną wielkich parasoli. Pokraśniały od jabłek czerwonych i pomidorów.

— A nie obudź mi Zośki — powiedziała pani Malinowska do Tereski, która właśnie zabierała się do odejścia. — Mała jest, ma czas — może spać jeszcze. A koło południa możecie przyjść obie, tylko mi ją ubierz ładnie a ciepło!

— Ma pani rzetelną pomoc z tej Tereski — zazdrościła przekupka Stępkowa. W domu wszystko zrobi, jak trzeba i dziecka dopilnuje...

— Z ostatniej nędzy wyciągłam ją, moja pani. Przygarnęłam, jak swoją. Krzywdy jej nie robię nijakiej. Pani zresztą wie, że ja nie z tych, co nie wiedzą, jak się z ludźmi obchodzić. I gościa zawsze obsłużę, jak trzeba. Wybierze, co mu się spodoba — pogrymasi — a ja grosza więcej nie policzę. Uczciwie — moja pani — uczciwie... Już ja tak z domu nauczona i moją Zośkę tak samo wychowam.

— Co paniusieczki kupują? — Może kalafiorka — śliweczki świeże... — rozkrzyczały się nagle przekupki, bo właśnie zaczęły się schodzić klientki.

Pani Malinowska przerwała donośnym głosem prowadzoną rozmowę, obie ręce zasunęła pod fartuch i mocniej stanęła za stołem. Poważnie i dostojnie patrzyła prosto przed siebie. Ona nie z tych, co gościa łapią i namawiają.

— Widziała pani, jak się to nadyma — bezzębnie sepleniła pani Szydłowska do sąsiadki przy trzecim stole. — Za co lepszego się ma. Porządnych ludzi uczciwości uczy, a sama to nigdy męża nie miała. I ciągle tylko o tej Zosi... Ustroi ją jak hrabiankę i cieszy się, że ładna. Tylko nie wiadomo jeszcze, co z takiego dziecka wyrośnie, co nigdy ojca nie znało...

Tymczasem pani Malinowska uwijała się za straganem. Krajała, odważała, nabierała — co chwila zanurzając rękę w przepastnej kieszeni szerokiej spódnicy, aby wydać resztę.

Koło południa ruch się zmniejszył. Od czasu do czasu przybiegła jeszcze zapóźniona kucharka po funt jabłek, albo wiązkę marchewki i zadyszana pędziła z powrotem.

Pani Malinowska podjęła poranną rozmowę.

— Jakie z tej mojej Zosi dobre dziecko, jak mało które. Ciche, spokojne, zaraz usłuchnie, jak mu się co przykaże. Mówię pani, pani Stępkowa, żem jeszcze takiego dziecka nie widziała.

Twarz pani Malinowskiej zaczerwieniła się zarówno z zapału, jak i z gorącą, gdyż jesienne słońce przypiekało jeszcze mocno.

Kiedy strażnik na wieży cztery razy odtrąbił dwunastą, przyszła Tereska i przyprowadziła z sobą Zosię, drobną pięcioletnią dziewczynkę, w niebieskiej, ślicznie haftowanej sukience.

Zosia dygnęła grzecznie lewą nóżką i powiedziała — całuję rączki — mamie i pani Stępkowej, której stragan stał najbliżej.

Miejsce za stołem zajęła teraz Tereska a pani Malinowska z Zosią pomaszerowały do domu na obiad.

Tak bywało zawsze w dni pogodne. Gdy padał deszcz, lub na dworze było bardzo zimno, wtedy Zosia zostawała pod opieką pani profesorowej z drugiego piętra, która ją lubiła, jak własną.

— — — — — —

Trzy lalki Zosi mieszkały w kącie za szafą. Przeważnie spały, równiutko ułożone przy sobie w dużem pudle, pod strażą rudego niedźwiadka, który czuwał nad niemi, plecami oparty o ścianę.

Zosia zmieniała lalkom sukienki, wygładzała je maleńkiemi rączkami i układała lalki do snu. Na tem polegała zabawa.

W mieszkaniu pani Malinowskiej było czysto i ładnie. Białe firanki w oknach — na komodzie i stoliczkach haftowane serwetki, wykończone mereżką. Bo pani Malinowska znała się na szyciu. Dawniej nawet zarabiała trochę, jako hafciarka.

— — — — — —

Dwa sztywne, mocno zaplecione warkoczyki Zosi, przystrojone kokardkami, pochyliły się nad stołem. Pani Malinowska nawlekła długą, czerwoną nitkę i pokazuje córce, jak się wyszywa na kanwie.

Z początku tylko ścieg przy ściegu, równo, jeden przy drugim, jeden przy drugim... A jak już Zosia to będzie umiała, pokaże jej coś ładniejszego. Bo Zosia ma już lat sześć i musi zacząć się uczyć...

— — — — — —

— Antek! — A pośpiesz no się, gamoniu! Kupcowa już dawno w sklepie i czeka na pieczywo!

Chłopak ruszył truchcikiem, aż bułki zaregotały w koszyku.

Pani Malinowska uwijała się koło stragana.

— Ładną mamy jesień — Bogu dziękować — zagaiła rozmowę ze sąsiadką.

— A no — Bóg łaskaw — odkrzyknęła pani Stępkowa z za sterty w stożki poukładanych owoców.

— A idziesz no ty! — tupnęła na chłopaka, którego brudna mizerna twarz zdradzała złe zamiary. — Jak się to kręci i przyczaja! Poproś ładnie, to dostaniesz. A nie kradnij!

— Oj, źle to — moja pani, kiedy dziecko opieki żadnej nie ma, od rana głodne ugania po ulicy i kraść się uczy.

— Matki to grzech — a nie dziecka — uniosła się pani Malinowska. — Na to Pan Bóg dzieci daje, żeby je uczciwie, na ludzi wychować. Tylko staranie o nie mieć trzeba. I ja z moją Zosią mam dość utrapienia. Ze szkoły wróci i zaraz do nauki. Książki porozkłada — zadania pisze. A jak nie, to znowu lalkom sukieneczki szyje. I ciągle tylko w domu. Do dzieci nie wyjdzie, nie pogoni — i pewnie przez to taka mizerniutka. Pilna jest i pracowita, tylko się boję, że zdrowia do tego nie ma.

— Wyrośnie, moja pani, wyrośnie... Dochowa się z niej pani pociechy. Wszyscy to samo mówią.

— Daj Boże — Daj Boże — pobożnie westchnęła pani Malinowska i dumnie zasunęła obie ręce pod fartuch.

— — — — — —

Przyszedł, moja pani, do domu — w rękę mnie pocałował i mówi, że to niby książkę przyniósł, co ją Zosia pożyczyła jego siostrze. Ale ja zaraz zmiarkowałam, co się święci... Więc poprosiłam do pokoju i ciastka przyniosłam, bo to akuratnie w sobotę było i Tereska na niedzielę je upiekła. Posiedział, z Zosią porozmawiał, ale dość nie-

długo, bo już wieczór był. Pożegnał się potem ładnie i powiedział, że nieraz by przyszedł wieczorem, tylko nie wie, czy mu pozwolę. Urzędnikiem jest, moja pani — w banku pracuje. Więc zapraszałam go grzecznie, bo wiem, jak z inteligentnym człowiekiem trzeba... I teraz wieczora nie ma, żeby nie przyszedł.

Pani Stępkowa chciwie nadstawiła uszu i całem ciałem odwróciła się ku sąsiadce. Mały urwis w tej właśnie chwili ściągnął najładniejsze jabłko ze samego szczytu precyzyjnie ustawionego stożka.

— A cóż Zosia na to? Pewnie zadowolona...

— A no Zosia, jak Zosia... Młoda jest jeszcze — osiemnastu lat nie ma. Ale widzę, że jej się chłopak podoba. Grzeczny jest, delikatny, w sam raz dla niej.

— Słyszała to pani — niewyraźnie zaszeptała do sąsiadki bezzębna pani Szydłowska - Malinowska za urzędnika córkę wydaje. Po całym rynku o tem opowiada. Już ja zawsze mówiłam, że takie dzieci największe szczęście robią. A dziewczyny z porządnych domów na stare panny zostają.

— — — — — —

A szczęście Zosi było małe i całkiem zwykłe. Czyściutko utrzymane mieszkanie, przyozdobione wyszywanemi serwetkami. Mnóstwo ważnych, gospodarskich zajęć, sprawiających więcej przyjemności, niż kłopotu.

Przygotowywanie śniadania Józiowi, który punktualnie przed ósmą wychodził do biura. A potem obmyślanie obiadu i przygotowywanie go przy pomocy Tereski.

Zosia nie nudziła się wcale, choć Józio zawsze był cichy i małomówny. I właściwie nie on odgrywał główną rolę. Ważniejsze było to, aby codzienne zajęcia domowe wykonane były w porę i dokładnie. Aby w mieszkaniu zawsze było ładnie i czysto...

Gdy po południu Józio znowu wychodził do pracy, Zosia siadała przy oknie i szyła. Kolorowe nitki układały się równo, ścieg przy ściegu, jeden przy drugim. Ze ściegów tych powoli wykwitały wzory.

Za oknem zgrzytała i dudniła ulica.

— Gdy zakochasz się we mnie, gdy mi serce swe dasz... — Łaskotliwa muzyka z trudem przecisnęła się przez uliczną wrzawę. Zwykle przychodzili o tej porze. Było ich czterech. Jeden miał gitarę, drugi skrzypce, a trzeci harmonię. Czwarty zaś śpiewał wysokim, gardłowym tenorem.

Zosia porzuciła robotę i wychyliła się przez okno. Znała dobrze muzykantów, bo przychodzili często. Skrzypek grał najładniej, a przytem taki był przystojny, wysoki... Skinęła mu głową, gdyż właśnie ukłonił się grzecznie.

Grali bardzo ładnie. Można było słuchać i zapomnieć o wszystkiem. Tak było dziwnie przy tej muzyce... i dobrze i trochę smutno i wogóle jakoś inaczej...

I jeszcze jedna jesień.

Sypią się rdzawe liście na wypełzą trawę. Fruwają białe, pajęcze nitki. Cieniutkie i powłóczyste. Ciche jesienne melodje dygocą w powietrzu.



Zosia przymknęła oczy i siedziała bez ruchu — skrzypek zas grał...

Zosia zostawiła przy dziecku Tereskę, a sama wyszła do parku. Tak mało ma teraz czasu dla siebie...

— Dzień dobry pani. Strasznie dawno już nie widziałem — Zosia posłyszała nagle za sobą przyspieszone kroki i niski dźwięczny głos. Zatrzymała się niepewnie.

— To pan — powiedziała tylko, bo przecież nie znali się wcale. Tyle co przez okno...

Nie grywam już po ulicach — mówił szybko skrzypek, nie spostrzegając jej zakłopotania. — Bo, widzi pani — zaśmiał się szeroko — jestem teraz strasznie, okropnie bogaty! Dostałem stypendjum i lekcje... Niedawno kupiłem sobie nawet nowe skrzypce. Śliczny mają ton. Chciałbym, aby pani posłuchała.

— Bardzo chętnie. Ogromnie lubię słuchać muzyki. Lecz pan już nie grywa na ulicy...

— Więc chodźmy do mnie — niedaleko stąd. Zagram pani taką piosenkę, że serce się od niej roznuci.

Skrzypek mieszkał w oficynie na trzecim piętrze. Podworzec, na który wychodziło okno jego pokoju, ze wszystkich stron zamknięty kamienicami, przypominał wielkie i wysokie pudło, z którego zdjęto przykrywę. Drewniane, spróchniałe ganki poprzylepiały się do boków starych kamienic, jak długie, szczerniałe szkielety.

Zosia usiadła naprzeciw okna. A skrzypek grał.

Piosenka była prosta i cicha. Jasne, delikatne tony rozprzędły się po ciemnym pokoju.

Zosia przymknęła oczy i siedziała bez ruchu.

Skrzypek zaś grał.

— Piosenka ta ma tytuł „Szczęście" — powiedział cicho, kiedy ostatnie tony zapadły w mury kamienic i rozpierzchły się po ciemnych zakamarkach balkonów.

— Jest bardzo ładna. Czy zna pan słowa do niej?

— Znam słowa. Kobiecie słów zawsze potrzeba — uśmiechnął się skrzypek. — Lecz powiem pani tylko te, któremi kończy się piosenka. Proszę posłuchać: „...Myślisz, że przyjdzie wtedy właśnie, gdy płoną gwiazd ogniki święte. Gdy złote słońce dnia zagaśnie — a noc gra dziwy niepojęte. A ono... w jakiejkolwiek porze weźmie cię w mocnych ramion dwoje. Najkapryśniejsze szczęście twoje".

— Dalej już nie ma. Lecz za to ty jesteś. Taka jasna, słoneczna i bardzo kochana. Najpiękniejsza ze wszystkich melodji. I ze wszystkich najdroższa.

Grał skrzypek piosenkę o szczęściu — mówił słowa dziwne, kochające. Ukołysał niemi Zośkę i upoił. A potem wziął ją w ramiona. W mocne ramiona kapryśnego szczęścia, które nie zawsze przychodzi w porę.

— — — — — —

Dziecko spało. Kulawa Tereska siedziała przy niem na niskiem krzesełku i bezbarwnym głosem nuciła nieokreśloną melodję.

Zosia usiadła przy oknie i pochyliła się nad robotą.

Jasne nitki migotały szybko i zręcznie, jak zawsze. Tylko z pod drżących palców wyrastał ścieg krzywy i bardzo niepewny...

Dokończenie ze str. 11-tej.

je też w projektach jego do dywanów dla Eskurialu. Nie pozostały jednak żadne pamiętniki ni listy, któreby oświetlały stosunek Goyi do znakomitej arystokratki. Młodo zmarłą (1802) opłakiwał on długie lata a legenda złączyła trwale oba nazwiska.

W połowie ubiegłego stulecia odnowiły się i odżyły wszystkie szczegóły tych legend. — Oto przy licytacji pewnego zbioru obrazów hiszpańskich malarzy odkryto w Paryżu dwa zupełnie dotąd nieznane portrety Goyi, które uznane zostały za najcelniejsze dzieła jego życia. To dzisiejsza własność Muzeum Prado w Madrycie, obrazy, noszące nazwy „La Maja vestida" i „La Maja desnuda", przedstawiające tę samą piękność kobiecą w współczesnym stroju oraz nagą.

Kogo przedstawiają te dwa wspaniałe portrety?

Tasama postać kobieca, na takich samych poduszkach spoczywająca i tak samo wspierająca głowę na wzniesionych wysoko ramionach.

Dlaczego nikomu ze współczesnych nie były znane obydwa portrety?

Mimo skrzętnych poszukiwań biograficznych nikt nie umiał odpowiedzieć na te pytania. Tylko z ust do ust podowana wieść głosiła, że do obrazów tych pozowała sama Duquesa de Alba w ukryciu Palacete de la Moncloa.Z tego też powodu Goya przed śmiercią twarz na obu obrazach przemalował, zacierając na zawsze drogie dla siebie rysy...

Dziś pałacyk jest własnością Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Madrycie, a jego położenie pod Madrytem może budzić obawy, że nie zdoła się może ocalić przy zdobywaniu stolicy przez zwycięskie wojska narodowe. **J. H.**

BAŚŃ ZIMOWA... →



KORONKI CZÓŁENKOWE

I.

M. M. DUDREWICZOWA

Koronki czółenkowe mało są stosunkowo rozpowszechnione, a szkoda, bo nietylko służyć one mogą do wykonywania robótek, których celem jest własne zapotrzebowanie w dziedzinie bielizny wszelkiego rodzaju, ale także praca zarobkowa, mogąca zaspokoić potrzeby wielu ko-



Czółenko widziane z góry i z boku.



Od lewej: Zawęźlanie słupków i oczka.— Oczko po zasunięciu słupków.



Wzór okrągłej koroneczki.

biet, pracujących na siebie i swe rodziny. Koronki czółenkowe są bardzo łatwe w wykonaniu, gdy się posiędzie „tajemnicę" ich wiązania. Bardziej od szydełkowych podobne są one do koronek gipiurowych i stąd użyteczność ich przy niektórych grubszych rodzajach bielizny, jak np. stołowej, jest od tamtych wyższa. Zauważyć to można z reprodukowanej przy nim artykule serwetki płóciennej, ozdobionej mereżkami i obszytej koronką czółenkową.

Cała umiejętność koronek czółenkowych opiera się na odpowiedniem wiązaniu nitki, której większy zapas nawijamy na czółenko. Jego kształt „opływowy" ułatwia znakomicie przesuwanie go pomiędzy nitkami, otaczającemi lewą rękę przy pracy.

Wzory koronek czółenkowych składają się ze słupków i pikotek, które nazywają też niektórzy oczkami czółenkowemi. Tu używać będziemy stale wyrażeń: „s ł u p k i i o c z k a".

Słupki czółenkowe podobne są do nienawijanych słupków szydełkowych. W deseniach koronek czółenkowych tworzą one zawsze kształt listków, kółek lub wygiętych trochę linijek. Te szczegóły łączone są ze sobą przy pomocy oczek, które są prawdziwą ozdobą koronek czółenkowych.

Słupki czółenkowe są bardzo mocne i jędrne. Łączenie ich przy pomocy oczek jest natomiast wiotkie, to też aby koronki w spojeniach, przy praniu czy prasowaniu, nie pękały i nie rozlatywały się z czasem, trzeba je wykonywać zawsze z bardzo mocnych nici lub kordonku.

Wąziutkie koronki czółenkowe mają mało spajań, to też są najpraktyczniejsze. Nadają się doskonale do wykańczania szczegółów bielizny osobistej, do obszywania tak modnego chusteczek do nosa, jakoteż i niezliczonej ilości serwetek, potrzebnych dziś w każdym domu.

Najwygodniejsze jest w robocie czółenko kościane. Czółenko składa się z dwóch tafelek, połączonych ze sobą grubą osią, w której otwór nawleka się nitkę, zakończając węzełkiem, aby się nie wysunęła. Teraz nawija się nici czy kordonek na czółenko, podobnie jak na iglice do siatkowania.

Technika czółenkowa obejmuje — jak zaznaczono — dwa zasadnicze ściegi: słupki i oczka. Chcąc przystąpić do wykonywania motywów czółenkowych, trzeba najpierw opanować doskonale sposób wykonywania słupków i oczek.

Zacznijmy od wykonania oczek. W prawej ręce trzyma się czółenko. Koniec nawiniętej na czółenko nitki owija się wokoło czterech palców u lewej ręki, przytrzymując pierwszym palcem skrzyżowanie tego koła na drugim palcu. Prawą ręką zarzuca się nitkę z czółenka od siebie w półkole zewnątrz palców lewej ręki. Teraz wkłada się czółenko, ruchem od siebie w środek koła, pomiędzy drugi w trzeci palec, wyciągając je do góry, pomiędzy kołem a nitką, odrzuconą w półkole, stale kierując nić czółenka na prawo.

Następnie chwyta się nitkę z czółenka dwoma palcami prawej ręki w odległości 4—5 cm od miejsca, gdzie się skrzyżowały nitki w lewej ręce i silnie wypręża się ją poziomo na prawo, nie puszczając palcami lewej ręki skrzyżowania nitek, lecz zwalniając nieco 3-ci, 4-ty i 5-ty palec, skutkiem czego na wyprężonej nitce prawej ręki zawęźli się ze zwolnionej nitki półsłupek. 3-cim palcem formujemy go na wyprężonej nitce i przysuwamy do punktu skrzyżowania nitek. Podczas zawęźlania 4-ty i 5-ty palec można wysunąć całkiem z koła, ale to nie jest konieczne. Gdy półsłupek zawęźlony, wsuwa się natychmiast wszystkie palce do koła.

Półsłupek powstał zatem przy punkcie, gdzie skrzyżowane były poprzednio nitki, tworzące



Łatwa koroneczka czółenkowa.



Kółko (technika czółenkowa.)

koło, a więc przy drugim palcu lewej ręki. Prawa ręka pozostawała cały czas nieporuszona, wyprężając nitkę z czółenka aż do chwili zawiązania półsłupka w żądanym punkcie.

Ponieważ słupek czółenkowy składa się z dwóch części, uzupełnia się go przez wykonanie drugiego półsłupka.

Z pozycji poprzedniej, trzymając w lewej ręce skrzyżowanie nitek i zawęźlony półsłupek, odrzuca się nitkę z czółenka znowu w półkole, ale ku sobie w dół wokół dłoni. Następnie wkłada się znów czółenko do środka koła w lewej ręce, od dołu kierując je zewnątrz lewej ręki pomiędzy 2-gim a 3-cim palcem ku dłoni. Czółenko znajdzie się w środku koła, pomiędzy górną jego nitką, a nitką, odrzuconą w półkole na dół.

Wyciąga się znów czółenko na prawo, chwytając nitkę z czółenka jak poprzednio, blisko zrobionego już półsłupka. Wyprężywszy tę nitkę mocno, podnosi się nad nią 3-cim palcem lewej ręki zwolnioną nieco nitkę z koła do góry, zesuwając ją na lewo do miejsca pierwszego półsłupka aż się zawęźli nowy półsłupek.

Tak więc pierwszą połowę słupka wykonuje się, kładając czółenko o d s i e b i e na zewnątrz, a drugą połowę przez ruch przeciwny od zewnątrz k u s o b i e. Wyciągając czółenko, zwracamy je zawsze na prawo, wyprężając mocno ten kawałek nitki, na której zawęźla się słupki nicią z koła trzecim palcem lewej ręki.

Zaczynając naukę czółenkowania, lepiej jest wysuwać z koła przy zawęźlaniu 4-ty i 5-ty palec, bo wtedy całe koło, trzymane pierwszym i drugim palcem lewej ręki, wisi na 3-cim palcu i można wygodnie obserwować nić, kierując ją na lewo i w tył, aż do zawęźlenia słupka.

Gotowe już słupki przytrzymuje się zawsze między pierwszym a drugim palcem lewej ręki.

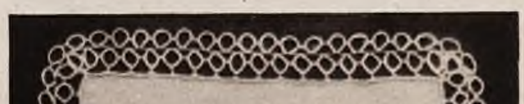
Cała trudność przy początkowem czółenkowaniu polega na wyćwiczeniu 3-go palca lewej ręki, aby nim dobrze zawęźlać słupki, oraz na trzymaniu w palcach prawej ręki wyprężonej i nieruchomej nitki z czółenka aż do chwili zawęźlenia się półsłupka.

Po zrobieniu kilku słupków należy się przekonać, c z y n i ć z c z ó ł e n k a p r z e s u w a s i ę ś r o d k i e m w y k o n a n y c h s ł u p k ó w. Próbuje się w ten sposób, że nitkę z czółenka pociąga się na prawo od ostatniego zrobionego słupka, poczem znów nitkę z przeciwległego końca, a więc nitkę z koła, trzymaną między 1—2 palcem lewej ręki, przesuwa się na lewo. Jeżeli nitki te się przesuwają, robota jest dobra. Jeżeli nie, trzeba rozwęźlić zrobione słupki przy pomocy szpilki, lub wogóle nitkę odciąć i zacząć czółenkować na nowo.

Nić z koła zużywa się przy robocie i koło się zmniejsza. Aby je powiększyć wystarczy pociągnąć nitkę z koła na lewo obok pierwszego zrobionego słupka, a koło na palcach zaraz się powiększy.

Wyćwiczywszy sposób czółenkowania słupków, trzeba jeszcze opanować technikę wykonywania oczek czółenkowych.

Mając zrobionych kilka słupków, czółenkujemy następny słupek, nie dosuwając go do ostatniego wykonanego słupka, lecz pozostawiając go w oddaleniu jednego centymetra od niego. Gdy już dobrze zawęźlony, pociągamy nitkę z koła w dół na lewo. Wtedy półsłupek dosuwa się do poprzednich, a centymetrowy kawałeczek nitki zamienia się w wydłużone oczko, zwrócone do góry. To właśnie oczko nazywa się



Serwetka ozdobiona koronką czółenkową.

oczkiem czółenkowem, albo pikotką. Oczka należy czółenkować dosyć duże i wyraźne, bo przy prasowaniu każde oczko trzeba wyrównać szpilką.

C. d. n.

ŻYCIE
towarzyskie i artystyczne

Pirandello na scenie krakowskiej



Teatr krakowski im. J. Słowackiego pierwszy w Polsce uczcił pamięć niedawno zmarłego znakomitego włoskiego pisarza, Luigi Pirandella, wystawiając nieznaną jeszcze u nas jego komedję „Ależ to nie na serjo", komedję niezwykle lekką i pogodną, mało przypominającą rodzaj twórczości autora „Henryka IV". Komedję przygotował reżysersko Wiktor Biegański, który wraz z odtwórcami czołowych ról Romaną Pawłowską i Zygmuntem Modzelewskim, dał oryginalną kreację. Na zdjęciu świetni wykonawcy głównych ról: Z. Modzelewski (Memmo), W. Biegański (Baranco) i R. Pawłowska (Flora).

„Mirandolina"



Ryszard Kierczyński dał świetną kreację w roli markiza di Forlipopoli w komedji „Mirandolina" Goldoni'ego, granej z niezwykłem powodzeniem przez Teatr Polski w Poznaniu w świetnej inscenizacji Bronisława Dąbrowskiego.

St. Mikuszewski



Stanisław Mikuszewski jest jednym z czołowych solistów skrzypkowych w Krakowie. Jako profesor prowadzi klasę skrzypcową w Konserwatorjum Muzycznem, ponadto znany jest z licznych występów przed mikrofonem Radja i na koncertach kameralnych.

Bal Pol. Białego Krzyża w Warszawie



Jedną z najwytworniejszych zabaw tegorocznego karnawału w stolicy był Bal Polskiego Białego Krzyża w Warszawie, który odbył się w salach Bristolu pod protektoratem P. Marszałkowej Śmigłej-Rydzowej. Na bal przybyła doborowa publiczność, przedstawiciele najwyższych sfer wojskowych, towarzyskich i artystycznych. Bal urozmaicony był produkcjami L. Szczepańskiej, K. Skalskiej, Didur-Załuskiej, L. Nestor, Kołpikówny, Paplińskiego, Sempolińskiego i Zdzitowieckiego. — Na zdjęciu od lewej: przew. Kom. bal. gen. Wacławowa Stachiewiczowa, płk Konradowa Mitlakowa, min. Wacław Staniszewski, prezes P. B. K. i mjr. Ludwikowa Zeifertowa.

Sukcesy St. Mazarekówny



Wybitna artystka scen krakowskiej, lwowskiej, warszawskiej, Stanisława Mazarekówna, odniosła ostatnio olbrzymi sukces w Teatrze Ziemi Pomorskiej, stwarzając świetną postać tytułową w „Damie Kameljowej" Dumasa. O roli tej artystka marzyła przez całe życie i oddawna ją opracowywała.

Nowy talent aktorski



Irena Kwiatkowska jest młodym, pięknie zapowiadającym się talentem aktorskim. Występuje obecnie w Teatrze Nowym w Poznaniu, gdzie wkrótce zagra tytułową rolę w komedji Niccodemiego „Gałganek". W roli tej odniosła już w roku ub. duże sukcesy w Warszawie, jako członek zespołu teatrów T. K. K. T.

MODA

na dworze księcia karnawału



Efektowna tualeta z gazy przetykanej złotą nicią w drobny fantazyjny wzór, uzupełniona analogicznem sortie z przybraniem z srebrnych lisów (Ann Sothern).

Pomimo groźnych zawikłań międzynarodowych, pomimo kryzysu i przysłowiowych już dziś „ciężkich czasów" — „Królewicz Karnawał" zawitał nam jak co roku i domaga się, abyśmy poświęcili mu trochę uwagi i zainteresowania. Panowanie jego będzie w tym roku krótkie, może nie tak huczne i szumne jak to „in illo tempore" bywało. Ale pomimo wszystko pozwólmy mu oczarować nas choć na krótko melodją upojnego tanga i śpiewnego walca, magją świateł i tęczą barw balowych tualet. — A trzeba przyznać, że Pani Moda, cicha wspólniczka lekkomyślnego Księcia Karnawału, uczyniła w tym roku wszystko, aby orszak jego wielbicielek w niczem nie przypominał szarzyzny kryzysowych czasów. Wysiliła całą swą fantazję i pomysłowość, sięgnęła do najsubtelniejszych kolorów z swej palety, aby sylwetkę balową pięknej pani uczynić uosobieniem wdzięku i najbardziej rafinowanej elegancji.

Z początkiem zimowego sezonu pisaliśmy już o zasadniczych wytycznych mody wieczorowej i balowej. — Obecnie, gdy sezon karnawałowy już w pełni, wystarczy przypomnieć tylko najbardziej charakterystyczne szczegóły, a mianowicie zreasumować to wszystko, co stanowi niejako śmietankę tegorocznej mody, najwyższy jej wykwint.

A więc kolory pastelowe i jasne zestawiane w kilku odcieniach, np. liljowo-różowy w trzech nuansach, albo bananowy i niebiesko-liljowy, różowy i „pervenche", seledynowy i słomkowo-żółty. Zestawienia te najsubtelniej wypadają w sukniach z gazy lub tiulu. Z tychże materjałów robi się do sukien jedwabnych a nawet aksamitnych długie i powłóczyste skrzydła, spływające od ramion, a nawet całe cape'y, sięgające do ziemi.

W łaskach są też koronki, kombinowane z tiulem lub gazą, lub też tworzące rodzaj długich płaszczy z obcisłemi rękawami, noszonych na b. wydekoltowanym spodzie z lśniącego satin. Efekt pajęczej koronki na tle nagich ramion i pleców jest nowy i bardzo ciekawy.

Wszystkie lekkie, powiewne materjały nadają się też do plisowania, w szczególności t. zw. lama gazowa srebrna lub złota, stanowiąca nowość sezonu.

Bardzo pięknie wyglądają gazowe plisowane skrzydła przy prostej, drapowanej sukni z miękiego jedwabiu lub lamy. Najmodniejsze są jednak suknie w całości plisowane, przez prostotę swej linji i wertykalność drobnych fałdków, upodabniające smukłą postać kobiecą do greckiej kolumny. Jest to prześliczna inowacja obecnej mody, ale pamiętajmy, że nadaje się ona wyłącznie dla kobiet wysokich i b. szczupłych. Kształty pełniejsze, przywrócone zresztą do swych praw przez Mae West — modelują się najkorzystniej w sukniach z ciężkiego jedwabiu lub brokatu, od góry prostych i raczej obcisłych, a rozszerzających się dopiero od kolan w miękie klosze lub powłóczysty tren.

Jeśli chodzi o linję, jeszcze jeden szczegół zasługuje na zanotowanie z tego względu, że wygląda on na zapowiedź ważnych zmian w linji stanu. Od szeregu lat moda utrzymuje t. zw. normalną linję stanu, umieszczając go w pasie. Ale nie zapominajmy, że moda nigdy długo nie stoi w miejscu i podobnie jak jej wielbicielki, nie odznacza się stałością upodobań. Od blisko roku krawcy





Powyżej od lewej: Marlena Dietrich w pelerynie ze złotej lamy, z analogicznym kapiszonem. — Prawdziwie królewski płaszcz z gronostajów nadaje się do każdej tualety wieczorowej (Erline Judge).

Poniżej: Ten piękny model sukni empirowej z plisowanej srebrnej gazy stanowi w połączeniu z cape'm z gazy blado-niebieskiej ostatni wyraz wieczorowej mody 1937. (Loretta Young).



paryscy próbują delikatnie naruszyć ten kanon, to obniżając linję stanu zlekka ku biodrom, to podwyższając ją nieznacznie ku górze. I oto tej zimy pokazano nam szereg sukien, które zdecydowanie wykazują tendencje empirowe, umieszczając stan wysoko pod piersiami. Dla kompromisu z linją dotychczasową niektóre balowe tualety mają dwa paski: jeden we właściwym pasie, drugi o jakieś 10 do 15 centymetrów wyżej. Trzeba przyznać, że jest to b. ładne i dla kobiet szczupłych niezwykle awantażowne.

Jednym z najekscentryczniejszych wybryków Pani Mody jest kombinowanie wieczorowych tualet z futrem. Widziałam powłóczystą czarną aksamitną suknię „princesse", której staniczek wykonany był w całości z białych gronostajów (piszę „białych", gdyż, o zgrozo! gronostaje farbuje się obecnie, co uważam za barbarzyństwo). — Tualetę tę uzupełniał „cape" z tychże gronostajów.



Skromna, ale bardzo gustowna tualeta z czarnego tiulu na spodzie z tafty (Anne Shirley).



Na lewo: Stylizowany kostjum hiszpański.
Fot. Kitty Hoffmann

Obcisłe suknie z aksamitów „transparent" i „infroissable" obszywa się dołem szerokim szlakiem ze srebrnych lisów, uzupełniając je strojnym płaszczem z tegoż aksamitu, ozdobionym kołnierzem z lisów. Płaszcz ten ma być o tyle krótszy od sukni, aby szlak futrzany był z pod niego widoczny. Wątpię, aby moda ta się przyjęła, gdyż jest bardzo kosztowna i niecelowa. Nie wyobrażam sobie, aby jakakolwiek rozsądna kobieta zgodziła się tańczyć w przegrzanej zazwyczaj sali balowej w staniczku z ciepłych gronostajów, lub zamiatać pięknemi i drogocennemi lisami niekoniecznie najczyściejszą podłogę.

Bardzo ważną częścią składową wieczorowego stroju jest okrycie. Lekkie „cape'y" i peleryny z lam i aksamitów nie mogą nas zainteresować, gdyż nie dadzą się pogodzić ze srogością naszej polskiej zimy. U nas wchodzą więc w rachubę jedynie ciepłe i długie płaszcze z aksamitu, solidnie podbite najmniej dwoma warstwami wataliny, lub też wieczorowe futra. Wśród nich na pierwszy plan wybijają się oczywiście płaszcze z gronostajów lub nurków. Są to jednak okrycia bezcennej wartości, na które przeciętna kobieta nie może sobie pozwolić. Dla skromniejszych budżetów odpowiedniejsze będą długie do kostek płaszcze z imitacji selskinu, ozdobione dużym i efektownym kołnierzem, a nawet z bardzo pięknie dziś preparowanych białych królików, które jeśli chodzi o ogólne wrażenie, zupełnie dobrze mogą zastąpić królewskie gronostaje. Okryciem tańszem, a ogromnie dziś w zdemokratyzowanym Paryżu rozpowszechnionem, są długie i proste ciemne płaszcze wieczorowe z wełny, szczelnie pod szyją zapięte, uzupełnione dużym kołnierzem lub pelerynką z futra.

Do tualet balowych nosi się obecnie przeważnie lekkie i ażurowe sandałki z srebrnej lub złotej skórki, z brokatu lub lamy, ewentualnie z jedwabiu w kolorze sukni. Najodpowiedniejszą torebką będzie sakiewka z plisowanej lub przemarszczanej lamy, lub z materjału sukni. Wachlarze są obecnie niemodne, natomiast długie rękawiczki z białej, czarnej lub kolorowej cienkiej skórki antylopowej są zawsze pożądane i stanowią eleganckie wykończenie balowego stroju.

Poniżej: Kostjumy redutowe: fantazyjny i stylizowany biedermajerowski.



Reduty i bale kostjumowe stanowią wielką atrakcję sezonu karnawałowego, a jeśli chodzi o tualety, pozwalają na dostosowanie ich bardzo swobodne do indywidualnych upodobań i typu urody danej kobiety. Wymagają zato dużo pomysłowości i krytycyzmu, unikania niegustownej jaskrawości lub

Dokończenie na str. 31.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.

SOS TATARSKI „A L'ANGLAISE". Trzy sardelki rozetrzeć z łyżeczką masła, dodać łyżkę siekanej zielonej pietruszki oraz estragonowych listków, łyżkę kaparów, małą siekaną cebulkę, usiekany ogórek z octu (korniszon), 5 ziarn jałowca miałko utłuczonych, 3 ziarna białego pieprzu. Wszystko utłuc razem, następnie przetrzeć przez sito. Z trzech żółtek i $^1/_4$ l oliwy ubić gęsty majonez, dolewając oliwę kroplami. Zmieszać z przetartą masą, domieszać jeszcze dwie łyżki musztardy i łyżkę marmolady głogowej. Octem lub sokiem cytrynowym doprawia się smak tego ostrego sosu, który można złagodzić szczyptą cukru.

ROZBRATLE PO HOLENDERSKU. 4 rozbratle ubić cienko pałką, piąty zemleć wraz z 6 dkg słoninki, kawałkiem cebulki i małą bułeczką, rozmoczoną i wyciśniętą dobrze z wody. Posolony i popieprzony farsz miesza się z 6 dkg surowego tylko odparzonego ryżu i lekką jajecznicą z 2 jaj. Farsz dzieli się na 4 części i nakłada nim 4 ubite rozbratle, które się następnie zwija (niezbyt mocno, aby ryż miał miejsce do narastania). Owija się każdą ruladkę nitką, osypuje mąką, obsmaża szybko z wszystkich stron i dusi następnie na drobno krajanej jarzynie i cebuli, w szczelnie zamkniętem naczyniu. Po pół godzinie, podlewa się mięso rosołem i dusi dalej około $1^1/_4$ godziny. Miękkie wyjmuje się z sosu, który się przeciera, podsypuje łyżką tartego chleba, dodaje parę łyżek śmietany, zagotowuje i polewa nim, pozbawione nitki ruladki, zgrabnie, skośnie pokrajane w plastry. Jako dodatek kluski z surowych ziemniaków lub francuskie.

FLACZKI Z RYŻEM I ZIELONYM GROSZKIEM ZAPIEKANE. 1 kg flaczków kilkakrotnie sparzonych i oczyszczonych gotuje się w słonej wodzie z kawałkiem cebuli, którą się potem odrzuca. Ugotowane flaczki odcedza się i kraje w makaron. 5 dkg młodej słoninki kraje się drobno, dodaje małą posiekaną cebulkę i smaży na złoty kolor, poczem wkłada się pokrajane flaczki, zaprawia szczyptą pieprzu i odrobiną gałki muszkatułowej i dusi kwadrans pod pokrywą, dodając wkońcu pół litra gotowanego zielonego groszku. Odstawić, a po zupełnem ostudzeniu, kładzie się na spód natartej masłem formy warstwę duszonego ryżu, potem warstwę flaczków z groszkiem posypuje parmezanem, daje znów cienką warstwę ryżu i tak dalej, aż wyjdzie wszystko. Ostatnią warstwę stanowić ma ryż; wkońcu polewa się potrawę masłem i wstawia do piecyka na pół godziny. Do 1 kg flaczków wystarczy 20 dkg ryżu.

STRUDEL ŚMIETANKOWY. Z 25 dkg gładkiej mąki, łyżeczki masła i letniej słonej wody, wybić wolne ciasto, które powinno przykryte spoczywać godzinę. Nadzianka: 6 dkg masła utrzeć z 4 żółtkami i 10 dkg cukru z wanilją, poczem dodaje się $^1/_2$ l gęstej kwaśnej śmietany i szklankę tartej bułki oraz pianę z pozostałych białek, miesza ostrożnie i pokrywa masą tą połowę wyciągniętego ciasta. Drugą połowę przerzuca się zręcznie przez nadziankę, kropi masłem i zwija strudel w zwyczajny sposób. Ułożony w „ślimaka" na masłem natartej brytwance piecze się strudel w gorącym piecyku przez 35—40 minut. W połowie upieczony strudel kropi się gorącem mlekiem, aby zbytnio nie wysychał.

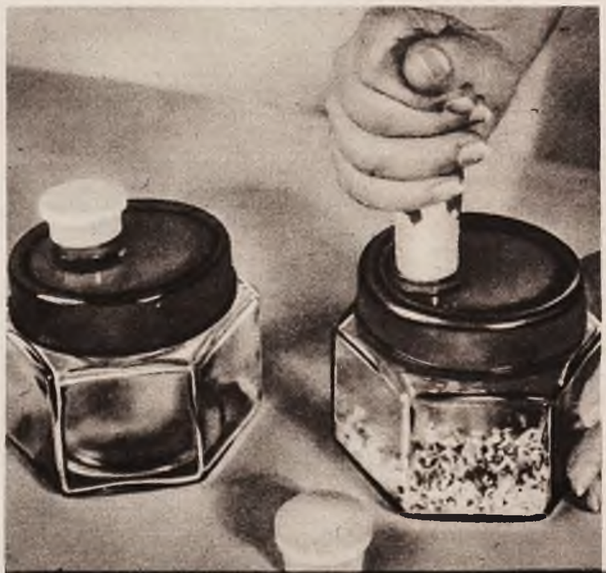
PONCZ I INNE GORĄCE NAPOJE. Karnawał, to pora podawania gorących napojów. Zwykle bywają to poncze, które podaje się w specjalnych naczyniach tzw. bovlach, w braku tychże użyć można każdej wazy byle miała przykrywę. Poncz rozlewa się do małych szklaneczek tzw. literatek. Poniżej kilka przepisów. **Ponczowa esencja.** 57 dkg cukru otartego na skórce pomarańczy zalewa się $^1/_8$ l wody i gotuje na gęsty syrop, pilnie zbierając piany, potem wciska się przez sitko sok z 3 cytryn i tyluż pomarańcz, zagotowuje, odstawia i dolewa $^3/_4$ l dobrego rumu. Z esencji tej bierze się po parę łyżeczek do szklanki gorącej wody lub herbaty. **Angielski poncz.** Cienko obraną skórkę z 2 pomarańcz zagotować w litrze wody, dodać 55 dkg cukru i gotować aż się zupełnie sklaruje, tj. oczyści z pian. Odstawić, dolać pół flaszki burgunda i tyleż reńskiego wina, pół flaszeczki rumu i sok z 2 pomarańcz, pomieszać i wstawić w ciepłe miejsce na godzinę. Co do ilości dodawanego alkoholu, to przepis podaje przeciętną cyfrę, można dodać do każdego ponczu mniej lub więcej, trzymając się jednak podanych proporcyj. **Grog** składa się tylko z rumu, cukru, wrzącej wody oraz soku z cytryny. Podaje się wszystko w osobnych naczyniach, miesza się zaś przy stole wedle upodobania.

SAŁATKA W KOLORACH. Na środku salaterki umieszcza się drobno pokrajaną marynatę z zielonych pomidorów lub zielonej papryki, dookoła robi się wieniec z białej fasolki lub plasterków ziemniaków (rogalików) przyprawionych sosem sałatowym z octu i oliwy. Dalsze obłożenie stanowią pomidory przyprawione na sałatkę, następnie zaś marynowane lub kiszone rydzyki.

Sałatka ta stanowić może osobne danie lub podaną być może do zimnego mięsa ciemnego lub wędlin. W każdym razie będzie ładną ozdobą stołu.

Sc. Ko.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Ucieranie chrzanu należy do przykrzejszych czynności w kuchni. Oto nowy przyrząd, który tę czynność ułatwi i nie spowoduje ataków kichania. Składa się ze szkła i metalowego tarełka wewnątrz. Po skończeniu ucierania zatyka się puszkę dobrze dostosowanym dużym korkiem porcelanowym.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

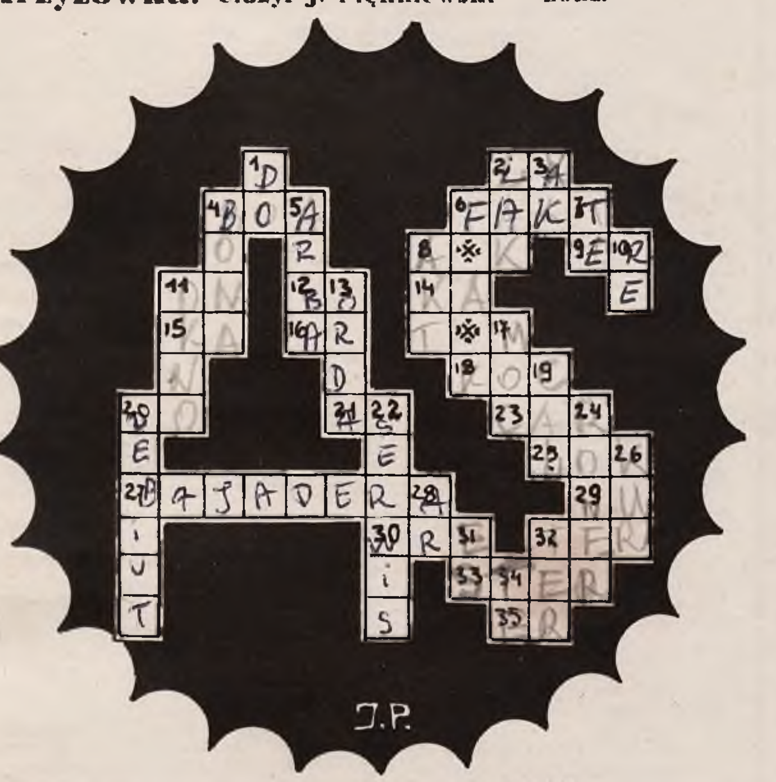
Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 6 — **Styczeń** — 31 dni

Dzień	Jadłospis
NIEDZIELA **31** Piotra z Noli	Krupnik na rosole z drobiu. Gęś pieczona z tarkonią. Sałata z białej i czerwonej kapusty z fasolką. Strudel śmietanowy. Kolacja: Zimny drób z sałatą.
PONIEDZ. **1** Ignacego bisk. (**Luty**)	Zupa z brukselki z płatkami. Rozbratle faszerowane z kluseczkami francuskiemi. Kompot z suszonych śliwek z figami. Kolacja: Kiełbasa w sosie musztardowym.
WTOREK **2** NPM. Gromn.	Rosół z grzybkiem. Sztuka mięsa zapiekana w sosie ogórkowym. Indyczka pieczona z kompotem. Mleczko waniljowe z biszkoptami. Kolacja: Zimna indyczka z sałatką.
ŚRODA **3** Błażeja b.	Kapuśniaczek na kiełbasie. Rizotto na podróbkach. Zraziki cielęce naturalne z tartemi ziemniaczkami i marchewką z groszkiem. Mus z jabłek. Kolacja: Pierożki ruskie z słoninką.
CZWARTEK **4** Weroniki p.	Rosół z kury z groszkiem ptysiowym. Flaczki z ryżem i zielonym groszkiem. Kura z rosołu z sosem chrzanowym i ziemniaczkami. Kompot z konserw. Kolacja: Omlety z mieloną szynką.
PIĄTEK **5** Agaty p.	Barszcz zabielany z twardemi jajami. Kotlety ziemniaczane z grzybowym sosem. Karp w szarym sosie z kluseczkami. Ciastka drożdżowe z orzechami. Kolacja: Twarde jaja i sałata ziemniaczana z śledziem.
SOBOTA **6** Doroty p.	Zupa cytrynowa z ryżem. Jarzynki mieszane. Pieczeń na dziko z makaronem. Legomina ryżowa zapiekana z konfiturami. Kolacja: Cynaderki duszone z kaszką.

HOCKI-KLOCKI

Krzyżówka. Ułożył J. Pięknlewski — Łódź.



Należy wpisać według numerów **poziomo** słowa o następującem znaczeniu: 2) nuta gamy, 4) dusiciel, 6) rzecz dokonana, 9) litera fonet, 11) zaimek, 12) rzeka w Rosji, wspak. 14) litera fonet, 15) taksamo, jak 14), 16) miara pow. 18) derka, 20) nuta gamy, 21) tur, 23) władca dawnej Rosji, 27) tancerka arabska, 25) strzęp włosów, 29) litera fonet., 30) gotuje się, 32) rzeka w Polsce, 33) kierownica, 35) litera fonet. **Pionowo** wpisujemy słowa o następującem znaczeniu: 1) nuta gamy, 2) materjał do pieczętowania, 3) litera fonet wspak, 4) panna do dzieci, 5) wóz dwukołowy Mongołów, 7) litera fonet., 8) część filmu, 10) nuta gamy, 11) zaszklony otwór w domu, 13) banda tatarska, 17) siła, 19) dawna miara długości, 20) rozpoczęcie zawodu, 22) zastawa stołowa, 24) środek lokomocji, 26) kogut, 28) miara powierzchni, 31) litera fon., 32) taksamo jak 32) poziomo, 34) litera fon.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ZADANIA Z WAGAMI.

Ile wskaże każda poszczególna waga sprężynowa, jeśli złączymy ich pięć sztuk, zahaczając koniec za koniec i jeżeli panowie Kanarek i Wróbel ciągnąć będą za skrajne wagi z siłą 40 kg każdy?

Rozwiązania z N-ru 4-go.

NOWY WSPÓLNIK.

Należy przyjąć, że wpłacone przez pana Kruka 2.500 zł stanowiło 1/3 kapitału zakładowego całego interesu, którego wysokość, przed przystąpieniem doń pana Kruka, wynosiła 7.500 zł. Kapitał pana Wróbla musiał wynosić 4.500 zł, a p. Kanarka 3.000 zł. Ponieważ teraz udziały mają być równe, więc p. Wróbel otrzyma od p. Kruka 2.000 zł, zaś p. Kanarek 500 zł.

OKRĄGŁY STÓŁ.

Przyjaciele winni byli siadać na zmianę w następujących kolejnościach:

A	B	C	D	E	F	G
A	C	D	B	G	E	F
A	D	B	C	F	G	E
A	G	B	F	E	C	D
A	F	C	E	G	D	B
A	E	D	G	F	B	C
A	C	E	B	G	F	D
A	D	G	C	F	E	B
A	B	F	D	E	G	C
A	E	F	D	C	G	B
A	G	E	B	D	F	C
A	F	G	C	B	E	D
A	E	B	F	C	D	G
A	G	C	E	D	B	F
A	F	D	G	B	C	F

NIESPODZIANKI REDUTOWE.



— Serwus stary, skąd wziąłeś taki komiczny strój?!
Z twojej szafy .

Dokończenie ze str. 8-mej

nącym z szopenowskiej muzyki i z nadzwyczajnej gry p. Przybyłko.

Przytoczone zdania reżysera i partnera Przybyłko-Potockiej podkreślają w wielce charakterystyczny sposób wysoką klasę gry artystki.

W dotychczasowym dorobku artystycznym Przybyłko-Potockiej, obejmującym kilkaset ról w ciągu dwudziestu czterech lat pracy, licząc wyłącznie pobyt artystki w teatrach dyrektora Szyfmana — pamiętamy takie niezapomniane kreacje sceniczne artystki, jak role: Elizy w „Pigmaljonie" B. Shawa, Heleny w „Kochankach" Grubińskiego, rolę tytułową w „Elżbiecie, królowej Anglji" Brücknera, a dalej wspaniałe role w „Damie Kameljowej" Dumasa, w „Nadziei" Bernsteina, w „Kobiecie, która kupiła męża" Passeur'a i wiele, wiele innych. Wiemy, iż znakomitą naszą artystkę pociąga nie każda rola; Przybyłko-Potocka dąży zawsze do objęcia takich ról, które mogłyby ją pasjonować, gdzie znajduje do rozwiązania jakiś ciekawy problem czy niejasność w podaniu sylwetki przez autora, umożliwiającą indywidualną interpretację.

Aktorów — ze względu na ich sposób pojmowania roli — podzielićby można na aktorów matematyków i aktorów uczuciowych. Jeśli mówię o tym podziale, to nie w tem znaczeniu, iżby aktor matematyk miał być gorszym od aktora uczuciowego. Powtarzam, iż chodzi tu wyłącznie o sposób odtworzenia postaci w sztuce. Aktor matematyk, postawiwszy swą rolę na właściwym poziomie, potrafi grę ująć w karby i grać ją potem stale w tem samem ujęciu. Inny artysta grać będzie nietyle tem wyliczeniem, ile swem uczuciem i przeżyciem. Nietrudno się domyśleć, iż jeśli ten rodzaj gry będzie o wiele bliższym życia, o tyle jednak na grę artysty w tym wypadku będą mogły bardzo łatwo wywierać wpływ przelotne nastroje, może dodatnie, ale może i ujemne.

U Marji Przybyłko-Potockiej zauważamy bardzo rzadki wypadek zbiegu tych dwóch, jakże różnych cech aktorskich. Aktorka ta wkłada w swe role wprost pożar uczucia, a przytem jednak potrafi narzucić sobie wysoką kontrolę formy, pozwalającą jej na nadzwyczajną precyzję ujęcia i wykonania roli.

Rola George Sand w „Lecie w Nohant" w wykonaniu Marji Przybyłko-Potockiej jest klasycznym przykładem takiego właśnie kunsztu aktorskiego i przyczyni niewątpliwie naszej świetnej artystce nowego lauru do jej sławy

R. Burzyński.

Dokończenie ze str. 29.

oklepanego szablonu. Szanująca się kobieta powinna wyrzec się raz na zawsze opatrzonych kostjumów bajader lub pierrotów i jeśli fantazja jej nie dopisuje, uciec się do wzorów ze starych obrazów czy portretów. T. zw. suknie stylowe (niekoniecznie krynolinki, jak się to u nas utarło) przedstawiają taką rozmaitość typów, że najwybredniejsza kobieta bez trudu dokona wśród nich wyboru. Bardzo efektowne są również stroje zupełnie fantazyjne, względnie t. zw. charakterystyczne, których efekt polega więcej na pomysłowości i dowcipnej stylizacji, niż na przepychu barw czy materjałów. W Paryżu cieszą się obecnie powodzeniem bale półkostjumowe, jak np. ostatnio „wieczór turbanów" u ks. Georgidze. Wszystkie panie nosiły nowoczesne balowe tualety, uzupełnione najrozmaitszemi zawojami i turbanikami na włosach.

Pamiętajmy jednak o tem, że jeśli nie stać nas na ładny kostjum, pozostańmy lepiej przy zwykłej wieczorowej sukni. Niema nic okropniejszego, niż pseudo-oryginalne kostjumy wykonane tandetnie z lichych materjałów, noszące na sobie zbyt wyraźne piętno „domowej roboty". Takie kostjumy szpecą i ośmieszają swe właścicielki, a sali redutowej nadają charakter jarmarcznej budy.

Lady Like.

To warto poznać...

NA SCENIE.

Teatr Polski w Poznaniu wystawił ostatnio komedję Carla Goldonego **„Mirandolina"** w bardzo pomysłowej inscenizacji Bronisława Dąbrowskiego, z ilustracją muzyczną Br. Młodziejowskiego, w oprawie plastycznej Z. Szpingiera. Widowisko jest świetne, o czem najlepiej świadczą słowa recenzji tak wybitnego krytyka, jak Witold Noskowski. Pisze on:

„Kto zna „Mirandolinę" odrazu zauważył, że obmyślone przez p. Br. Dąbrowskiego przedstawienie ma kształt zupełnie swoisty, od innych odmienny. Pojawia się muzyka: preludja przed aktami, od czasu do czasu piosenki, często frazy i biegi, podkreślające ruch oraz gest. Po scenie uwija się liczna służba, wprowadzona w akcję jako zespół o ruchach zrytmizowanych... Chwilami i aktorzy stylizują rytmicznie swój ruch. Akty kończą się półtanecznemi zespołami, ostatni zamyka barwna farandola.



Bronisław Dąbrowski, wybitny aktor i reżyser, odniósł w bieżącym sezonie dwa wielkie sukcesy reżyserskie w Poznaniu, inscenizując „Wieczór Trzech Króli" Szekspira i „Mirandolinę" Goldoniego.

W ten sposób nad autorem, który w swoim czasie dał był tak wielką innowację jak „komedja z pisanym tekstem" zamiast improwizowanego, wzniosła się teraz inna nowość: widowisko sceniczne, żywe, barwne, szczęśliwie pomyślane, a zestrojone w elementach składowych chyba do najwyższej perfekcji, jaką można osiągnąć w naszych warunkach czasu, prób i wszystkiego wogóle...

Widowisko pełne wdzięku, żywe, zajmujące, o biegu lekkim i bardzo naturalnym. Nie obciąża go żadna biblioteczna uczoność — zrodziło się z wyobraźni teatralnej i z dobrego smaku. Budzi na widowni humor i radość z przedstawienia, w którem wszystko na swojem miejscu współdziała i dopełnia obrazu: dekoracja (p. Szpingier znów rozszerzył naszą scenkę do prawie niepojętych rozmiarów), muzyka, światło i barwa, ruch sceniczny, a tak samo zespół aktorski, naprowadzony na ton i troskliwie w nim podtrzymany".

Główne role doskonale odtwarzają: Ludwiżanka, Jabłonowska, Porębska, Kierczyński, Rosłan, Pągowski, Gliński, Baryka.

Równocześnie gra Teatr Polski nową komedję Kiedrzyńskiego **„Serce na wolności"**, w której dobrze czołowe role grają Łabuńska, Noskowski, Pluciński i Jaworski.

W Teatrze Miejskim w Wilnie wystawiono komedję Fredry **„Odludki i poeta"** w reżyserji Młodziejowskiej - Szczurkiewiczowej i komedję Korzeniowskiego **„Majster i czeladnik"**, przygotowaną przez W. Czengery'ego. Świetnie w komedji Fredry gra Pollakówna, której pobyt u Jaracza wybitnie pomógł w rozwoju dużego talentu, ponadto dobre role dają Szymański, Borowski. W komedji Korzeniowskiego kapitalnie majstra gra Wołłejko, jego żonę Szpakiewiczowa, parę młodych Ściborowa i Staszewski, a sekundują im dzielnie Dzwonkowski, Roman i Ulnik.

Nową, nieznaną dotąd w Polsce komedję Luigi Pirandella wystawił **teatr krakowski im. J. Słowackiego**. Jest to 3-aktowy utwór p. t. **Ależ to nie na serjo"**, mający wszystkie zalety mistrzowskiej formy dramatycznej wielkiego pisarza. Mało zato w tej komedji tych cech, znanych ze sztuk innych autora „Sześciu postaci dramatu", które określa się nazwą pirandellizmu. „Ależ to nie na serjo" jest bardzo miłą, pogodną komedją, orzeźwiającą optymizmem. Została starannie przygotowana reżysersko przez Wiktora Biegańskiego i koncertowo zagrana, zwłaszcza przez Romanę Pawłowską i Zygmunta Modzelewskiego. Pawłowska w roli Flory daje świetną kreację. Kapitalny typ włoskiego starszego pana dał W. Biegański.

(b).

NOWE KSIĄŻKI.

„Krzysia zwyciężyła" Lili Jedlińskiej (z 16 ilustracjami L. Hellera — nakł. „Księgarni Literackiej" we Lwowie), to miła powieść dla młodzieży, szczególnie dla starszych uczenic. Tendencje moralizatorskie powieści, zgrabnie fabułą uwypuklone, są szlachetne. Obrazują one jak dobre serce Krzysi potrafi przemienić otoczenie rodzinne, szkolne, być szczęściem dla drugich. „Każdy ma swoje słabostki i wady. Jeden jest niezgrabny, drugi mało interesujący, trzeci zły. Ale nawet człowieka złego nie trzeba potępiać, a cóż dopiero, jeżeli jego wada jest inna, mniejsza. Nie dokuczaniem możemy zmienić, poprawić człowieka". Książka będzie zapewne cieszyć się dużą poczytnością, zwłaszcza, że obfituje w liczne sceny życia szkolnego.

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 31 stycznia.

8.00 Audycja poranna.
9.00 Transmisja nabożeństwa. Po nabożeństwie: Kolendy, koncert.
11.15 Koncert rozrywkowy.
12.03 Poranek muzyczny.
14.15 „Piosenki średzkiej ziemi".
14.30 Ryszard Tauber i orkiestra Barnabasa Geczy.
15.10 Koncert Warszawskiego Miejskiego Koła Śpiewaczego.
15.30 Audycja dla wsi.
16.20 Premjera komedji „Strzał na pokładzie".
17.00 „Podwieczorek przy mikrofonie"
19.00 „Listy do laureatów i od laureatów".
19.20 Koncert solistów.
21.00 „Na wesołej lwowskiej fali".
21.30 Recital śpiewaczy Mariny Karklins.
22.00 Melodje z filmów dźwiękowych.
22.30 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, 1 lutego.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Koncert orkiestry wojskowej.
12.50 „Błędy w odżywianiu niemowlęcia" — pogadanka.
15.15 Fragmenty oper Giuseppe Verdiego (płyty).
15.55 „Wszystkiego po trochu".
16.30 Chór Wichlera.
17.00 „Co Polska wniosła do kultury"
17.15 Koncert solistów.
17.50 „Suchy lód", pogadanka.
19.00 Audycja żołnierska.
19.30 Muzyka lekka.
20.15 „Mazurki fortepianowe".
21.00 „Nieboska komedja", cz. 1-sza.
21.30 „Od dworu do dworu — jedziemy kuligiem".
22.00 Koncert symfoniczny.
23.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, 2 lutego.

6.30 Audycja poranna.
9.00 Transmisja nabożeństwa.
10.40 „Od Jana Straussa do Lehara", muzyka operetkowa.
12.03 Poranek muzyczny.
14.30 Ludowe pieśni ziemi złotowskiej
14.50 Polska Kapela Ludowa F. Dzierżanowskiego.
15.30 „Hopla tyjater" — słuchowisko obyczajowe dla wsi.
16.15 Ryszard Strauss: „Kawaler srebrnej róży".
17.00 Dni powszednie państwa Kowalskich" — powieść.
17.15 „Dla naszych Maryś" — do tańca gra Mała Orkiestra.
18.30 Wesoły monolog.
18.40 Utwory fortepianowe.
19.25 Muzyka lekka.
21.00 Koncert wieczorny.
22.15 „Pisz tu listy", skecz.
22.30 Muzyka taneczna płyty).

Środa, 3 lutego.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Kamil Saint-Saens — koncert popularny.
12.50 „Tłuszcze roślinne w gospodarstwie domowem" — pogad.
15.15 Trio Polskiego Radja.
16.10 „Zagadki muzyczne" — audycja dla dzieci.
16.30 G. Osłow. Kwintet instrumentów dętych op. 81.
17.05 „Czego żołnierz wymaga od społeczeństwa" — odczyt.
17.20 Koncert Orkiestry Straży Więziennej.
18.50 „Szczęście czy morgi" — gawęda.
19.00 „Z rzeczy drobnych i wesołych" — humoreski.
19.20 Ryszard Strauss: „Kawaler srebrnej róży" — fragmenty aktu II i III (pyty).
21.00 „Opowieści o Chopinie" — wieczór IX — „Chopin i Georges Sand".
21.40 Recital skrzypcowy Orlando Barera.
22.10 Muzyka taneczna.

Czwartek, 4 lutego.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Poranek muzyczny dla młodzieży szkól średnich.
12.03 Koncert ork. Teodora Rydera.
15.15 Laureaci konkursu im. Wieniawskiego (płyty).
16.20 „Chwilka pytań" — pogadanka dla dzieci.
16.35 Koncert Ork. mandolinistów.
17.00 „Z życia nauczyciela wiejskieskiego" — pogadanka.
17.15 Koncert solistów.
19.00 Teatr Wyobraźni nadaje premjerę słuchowiska „W lesie".
19.30 „Kalejdoskop" — lekka audycja muzyczna.
20.30 „Tam gdzie djabeł małe djablęta hoduje" — feljeton.
21.00 Z cyklu „Sylwetki kompozytorów polskich" — Zygfryd Kassern.
21.50 Muzyka taneczna.

Piątek, 5 lutego.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
15.15 Koncert w wyk. Sekstetu Niny Mańskiej.
16.30 Altówka jako instrument koncertowy (płyty).
17.00 „Nad Amurem" — feljeton.
17.15 Fragmenty z opt. E. Kalmana „Djabelski jeździec".
19.20 „Z pieśnią po kraju".
19.45 Fragment operowy.
20.00 Pogadanka muzyczna.
20.15 Transmisja z Filharmonji Warszawskiej.
22.30 „Legenda o Farysie" — szkic literacki.
22.45 Muzyka taneczna.

Sobota, 6 lutego.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Śpiewajmy piosenki.
12.03 Wolfgang Amadeusz Mozart.
14.30 Teatr Wyobraźni dla dzieci: „Słowik".
15.15 „Groteski jazzowe" (płyty).
16.15 Orkiestra Adama Hermana.
17.00 „Podkoziołek" — audycja muzyczna.
17.20 „Płyta za płytą" — muzyka taneczna.
19.00 Audycja dla Polaków za granicą.
19.15 „Kotyljon piosenek" — audycja muzyczna.
21.00 Muzyka lekka.
21.55 Syrena karnawałowa.
22.30 Muzyka taneczna (transmisja z Berlina.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca.

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.